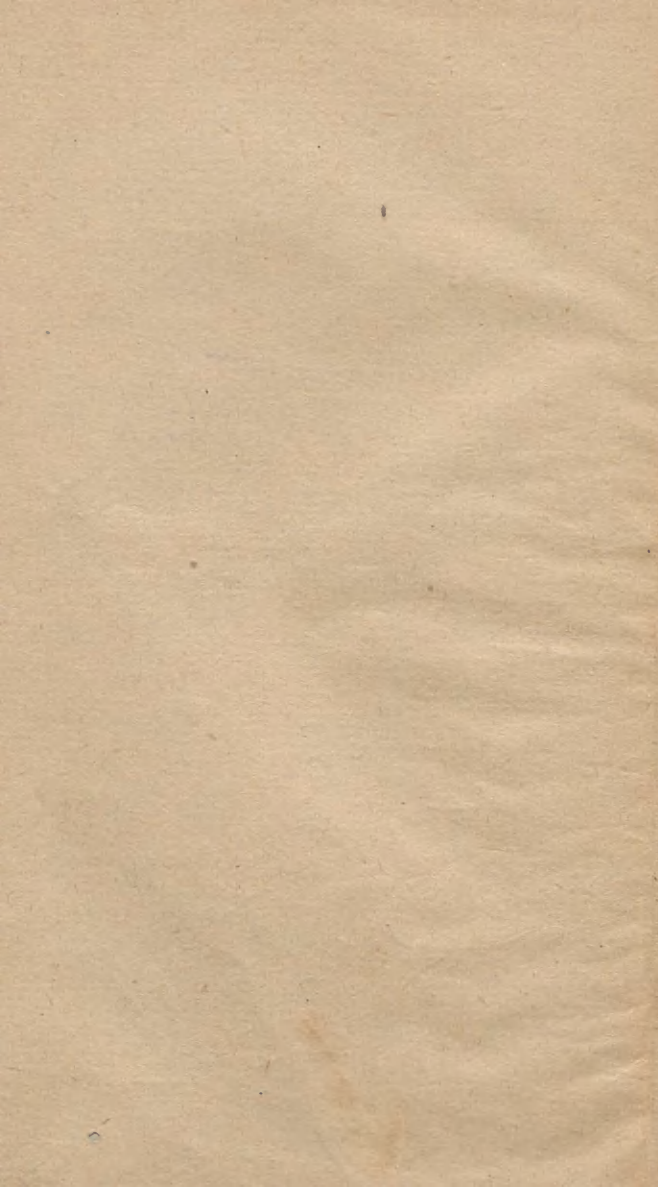


Klimachni

Tadrik

NA SKALNEM PODHALU

číslo 8.5 - 8.10.1921.



KAZIMIERZ TETMAJER

NA SKALNEM PODHALU

I.

MRZL.MB-



KRAKÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO

KRAKÓW. — DRUK EUG. I Dr. KAZ. KOZIAŃSKICH.

MOTTO

Ku mej kołysce leciał od Tatr
o skrzydła orle otarty wiatr,
o limby, co się patrzą w urwisko,
leciał i szumiał nad mą kołyską,

I do mej duszy na zawsze wlał
tęsknot do orlej swobody szal
i tę zadumę limb, co się ciszą
objęte wielką, w pustce kołyszą,

(z II, seryi »Poezyi«)

P R Z E D M O W A

Opowiadania „Na skalnem Podhalu“ powstały między rokiem 1901 a 1912. Pierwszem napisanem luźno opowiadaniem było „Jak wzieni Wojtka Chrońca“; pomysł cyklu rozpoczął się od drugiej opowiastki „Halny Gazda“; opowiadanie „Ku niebu“, drukowane o wiele dawniej, zostało do „Skalnego Podhala“ na nowo opracowane.

Pierwszym moim wogóle drukowanym utworem, w r. 1886, była góralska powiastka „Rekrut“.

Pisałem jeszcze inne, ale mi ich drukować nie chciano; były to forpoczty „Podhala“.

Opowiadania „Na skalnem Podhalu“ są wyłącznie snute z mojej własnej wyobraźni. Te, które są oparte na tematach ludowych, („Dziś tu cicho“, „Notatka o polskim chłopie“, „Śpiący Rycerze“), mają dołączone odnośne wyszczególnienia; gdzie, jak n. p. w „Sobku Jaworcarzu“, „Kubie Pudrasowym“, „Jakóbie Zychu“, znajdują się wtrącone

ustępy oryginalnej opowieści ludowej, dają również odnośne wzmianki. Zresztą czy to „Orlice“, czy cała opowieść o „zimowych pannach“, czy „Babski wybór“, czy „jak baba dyabła wyona-cyła“, czy „O Panu Jezusie i zbójnikach“, wogóle wszystkie, poza wskazanemi, opowiadania, są wyłącznie moją własną inwencyą. Podaję to dlatego, że od samego początku starano się obalić nie moje „Podhale“, ale moją pracę twierdzeniem, że są to przeważnie spisane i powtórzone słyszane przeze mnie, lub nawet czytane w cudzych rękopisach góralskie powieści i legendy.

Doszło do tego, że żądałem przed siedmiu laty, aby mi wytoczono proces o przedstawienie za swoją cudzej własności. Czekam dotąd *).

Co do pieśni, są one ludowe, oryginalne i moje własne, celowo utworzone na wzór ludowych i kombinowane jedne z drugimi. Odróżniać je byłoby za wiele roboty.

Dziś i tak ze śpiewających ją mało kto wie, że strofa marszu „Hej idem w las, piórko sie mi mi-goce!“, nie jest pieśnią chłopską, ale początkiem mego wiersza o czterech strofach.

Zaznaczyć także muszę i zaznaczam jak najwyraźniej, że między „Skalnem Podhalem“ a dzisiej-

*) Dodać należy, że niektóre moje opowiadania, r.p. „Babski wybór“, „Zwyrtała“ są opowiadane obecnie przez chłopów, jako ich własne.

szą góralszczyzną, zwłaszcza zaś dzisiejszem Zakopanem, niema żadnego związku. Ci nie z inteligentnych, ale inteligentniejszych współczesnych górali, którzy myślą i mówią, że „to jest o nich pisane“, mylą się najdokładniej. To jest pisane w wyobraźni i z wyobraźni o ich przodkach, ich pradziadach i dziadach, ich ojcach ostatecznie tu i ówdzie — ale nie o nich. Z dzisiejszą góralszczyzną i zakopiańszczyzną niema tu nic wspólnego.

Niema także moje „Podhale“ nic wspólnego z całą, bez wyjątku, literaturą góralską, która wydała dotąd tak świetne i znakomite dzieła, jak Witkiewicza i Orkana. Witkiewicz patrzy na góralszczyznę, jak oczarowany przybysz, Orkan jak miłujący syn. Na Podhale nie przybyłem — urodziłem się na niem; z górali nie pochodzę.

Moje stanowisko jest inne.

Wskazuję też tu, że dzieło moje „Legenda Tatr“ („Maryna z Hrubego i Janosik Nędza Litmanowski“) jest szóstym i siódmym tomem „Podhala“ i że w następstwie winna być razem we wspólnej księdze wydana.

Z początku dodawałem do poszczególnych tomów objaśnienia gwary, potem zaniechałem tego, gdyż „Podhale“ prawie nie było czytane. Zresztą słownik góralski jest przygotowany przez inteligentną sekcję „Związku góralskiego“; zostanie wydany.

Zdaje mi się, że użyłem kiedyś porównania, iż

do gwary góralskiej mam zamiłowanie, jak oficer kawaleryi do konia. Staralem się ją objąć jak najwszechstronniej i zachować jej pierwotną czystość, nie odrzucając jednak jej dawnych naleciałości ze słowacczyzny i niemieckiego (od osadników niemieckich), a to dlatego, że to stanowi część jej charakteru. Są tu wyrazy także łacińskie, rumuńskie, i perskie. Gwarę moją niechętnie ocenił bardzo słusznie ktoś z nowotarżan, że „tak mówiono lat temu pięćdziesiąt“. Żałuję, że nie mogłem słyszeć gwary z przed lat stu i dwustu.

Pisowni nie zachowuję ściśle jednolitej: rządziłem się tu często słuchem. W alfabecie naszym brak liter pośrednich między **a** i **o**, między literą **y** i **i**. Bez tych liter po góralsku pisać nie można.

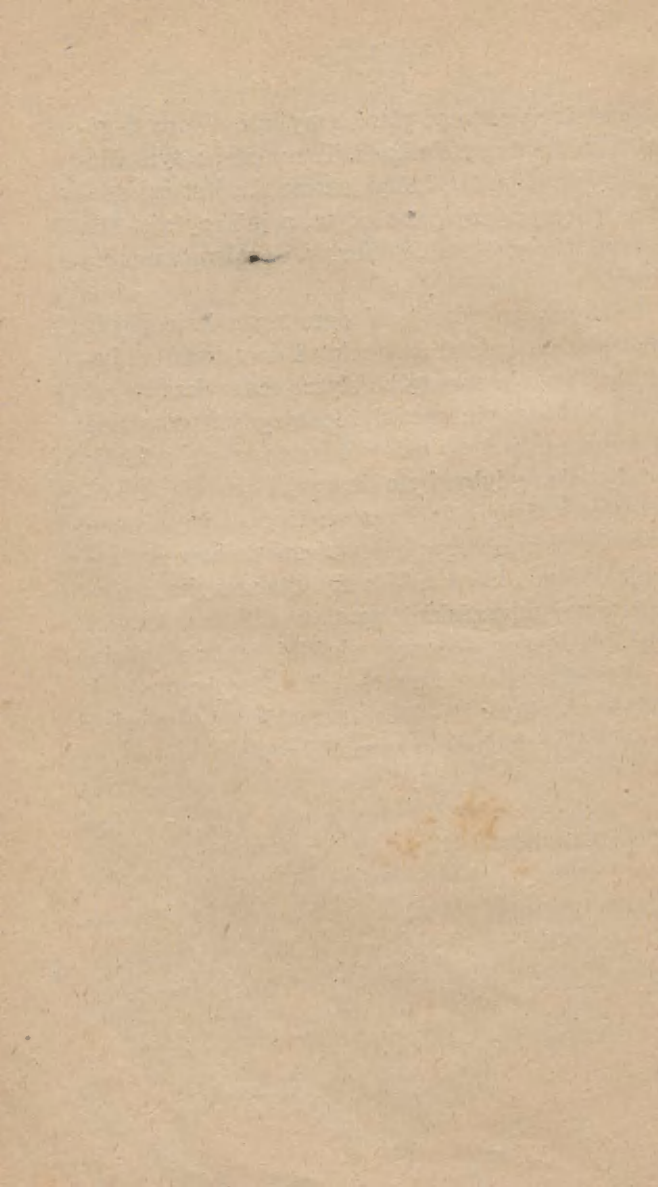
Z nadzwyczajną racyą wspomniany nowotarżanin ów nie chciał czytać „Podhala“, które mu ktoś w rękę cisnął. Myśli popularyzacyi mego „Podhala“, podjętej przez intelligentną sekcję „Związku górali“, nie wypadało mi się sprzeciwić; jestto jednak podług mnie najzupełniej chybione przedsięwzięcie. O ile ja osobiście, zresztą przypadkowo, bom się o te wiadomości nie starał, mogłem odnieść wrażenie, opowiadania „Na skalnem Podhalu“ są uważane przez ludność góralską, która je czytała, za cudaactwa i śmieszne i głupie zmyślenia, o niej wypisywane. Góralszczyzna jest przecież góralowi znana — a „t a k n i e b y ł o“. Nie takiego nie było na prawdę. Nie miałem nigdy

najmniejszej intencji pisać z myślą o chłopach góralskich, jako czytelnikach. Tem mniej o tym właśnie typie chłopów, który jeszcze nie jest człowiekiem zdolnym pojąć, co czyta, a już czytuje. Dla nikogo nie pisałem „Podhala“. Pisałem sam dla siebie.

I dla nikogo więcej. W ogromnym lesie pięciu tomów „Na skalnem Podhalu“ i dwu tomów „Legendy Tatr“ ja sam tylko słyszę szum drzew.

Nic mnie też nie martwi, że moje pisma góralskie są niezmiernie mało wzięte i znane wśród publiki; byłoby źle, gdyby było inaczej. Czterech tylko powinienem mieć słuchaczy: mego Ojca; Seweryna Goszczyńskiego; pierwszego proboszcza zakopiańskiego księdza Józefa Stolarczyka i nieśmiertelnej tatrzańskiej pamięci doktora Tytusa Chałubińskiego — przy wielkiej wiatrze, gdzie u wierchu w Kościeliskach, albo Chochołowskiej Dolinie, mógłbym im czterem opowiadać te powieści, a oni by słuchali, rozumieli i czuli.

5 października 1913 r.



STARA KSIAŻKA I STARA PIEŚŃ

W pokojū mrok, świeca się pali. Na stole leży historia średniowieczna Gindely'ego, fizyka Soleckiego, jakieś książki łacińskie, greckie, parę tomów Słowackiego w lipskim wydaniu Brockhaus'a. Mam zupełną gorączkę. Usiłuję pisać, jakieś mi się obrazy tworzą w głowie, ale wiersz mi idzie tępo, nie mogę sobie dać rady z oktawą. Dobieram słów, które, chciałbym, żeby były świetliste i przejrzyste, jak kryształ; łamią mi się trzy rymy oktaw. Męczę się, jednak czuję dziwną jakąś gorączkę i coś mię jakby podnosi w górę. Poprostu nie mogę wylamać tego, co chcę napisać...

Przedemną leży stara książka w czarnej okładce: jest to „Dziennik podróży do Tatrów“ Seweryna Goszczyńskiego.

...„Szczęśliwe oczy, szczęśliwe kroki,
Co świat dziwożon nawiedzić mogą.
Alabastrowe wszystkie opoki,
Najdroższy kamień leży pod nogą...



Wielkie pod niebo są nasze skały,
Perłami rosy toczą się nasze,
Nasze potoki, jako kryształ,
A jak noc świeże bory i pasze.

Bo u dziwożon nasz kraj się kluje,
Bo u nich każdy zdrój się poczyrna,
Bo je wypieszcza, bo im wartuje
Dzika, podziemna, lecz hal rodzina...“

Jestem w jakiejś halucynacyi, w jakimś śnie wyobrażeń. Nie mogę wyłamać oktaw, ale pełen jestem obrazów i światła. Czuję, że kocham Tatry do zapamiętania się, że mi ich trzeba do życia, że jestem ich synem i, że one są jakieś zupełnie inne, jak mi się dotąd wydawały; że tam nietylko można spinać się i na łbie stawać nad przepaściami, nietylko wyleżeć na Wysoką, nietylko słuchać, jak się Wala cienko drze:

„Tak mie tatuś wryktował,
Co jek doma nie nocował,
Nocowalek ne przyloskak,
Przi kobyłce o dwók nozkak!“ ---

ale że tam jest jakiś olbrzymi ezar, coś niewypowiedzianie cudownego. Goszczyński otwarł mi ten świat; otwarł mi oczy.

Jest temu bardzo dawno — parę dziesiątków

lat. Wtenczas zacząłem pisać wiersze, pamiętam dobrze.

Kiedy miałem lat dziewięć, złapał mnie leżącego w Strążyskach z uboczy do wyschłego koryta potoku, gdzie byłbym się na nie rozbił; on mnie potem do poezyi pchnął.

Z moim Ojcem kolegował w rewolucyi listopadowej. Wyemigrowawszy w 31 roku za granicę austryacką, siedział na wsi u Tetmajerów w Mikołajowicach, potem w Łopusznej pod Nowym Targiem, siedział długo, z Ojcem moim dozgonną związał przyjaźń i do nas na wieś przyjeżdżał jako starzec już i sławy wielkiej człowiek. Siwy był, rycerski miał wyraz twarzy; choć wówczas przeszedł już był siedmdziesiątkę, krzepki był, odważny i silny. Pracował jeszcze. Miał dziwne wstrząśnienia głowy i ramion wskutek wady sercowej; lubił chodzić samotnie na dalekie spacery.

U nas w Ludzimierzu było ślicznie. Dunajec szedł przez wieś, popod sam dwór. Były ciche pola, kamieńce puste, wieczorem od torfowego ognia chmura dymu nad wsią, wielki dzwon na Anioł Pański; były rozlewiska wodne, odmęty spokojne, nieruchome, przeraźliwie głębokie i głuche; były moczary, koła i obłędy wodne i torfowiska przepastne, karłowatą sosną zarosłe. Był las smrekowy, pusty, milezący, gdzie tylko szumiał wiatr. Były zarośla i zagaje tajemnicze, trwożące, gdzie się księżyc krył i z kąd się patrzył, jak upiór z wody

wylazły z mętnych topieli Dunajca. Były naki-
niec z jednej strony góry Beskidy, z drugiej Tatry,
cały łańcuch jak stalowy mur.

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawno drogach
zaduma polna, osmętница...

Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą...

Na Anioł Pański biją dzwony...

Szare się dymy wolno wleką
nad ciemne dachy, kryte słomą...

Na Anioł Pański biją dzwony...

Godzinami wędrował Goszczyński samotnie.

W ten wieczór cichy rozplęnęła mi dusza. Był
przyszedł przedtem niedawno do „sztukmalarnie“
(szkoły sztuk pięknych) dziś już nie żyjący długi,
chudy Wojtek Topór z Hrubego, z włosami na ra-
miona, w pasie szerokim; zamówili go w lecie
w Zakopanem za modela. Opowiadał „haj, haj,
bars cudne rzeczy!“ Jak to raz przyszli na halę
zbójnicy, trzy kobzy grały, kiedy „dołu“ szli. Jak
niedźwiedz we Wirchcichej kamieniami „prał“.
Jak „oreł“ wybierał owce juhasom w Muraniu.

Znalazły się jakieś stare fotografie Nowobilskich z Białki; ów słynny Józek Nowobilski, ostatni może w wielkim stylu baca na Podhalu. Jakieś stroje dawne, dawniejsze, dziś już nie noszone.

A była jeszcze przedtem jedna przedziwna noc.

Poszliśmy z moim bratem i nieboszczykiem Staszkiem Walczakiem ze Skibówki — no, poprostu raubszycować na kozy we Wielką Turnię. Doszliśmy na noc do małej łąki. Tam całą noc gwarzył nam stary (nieboszczyk już) Budz z Gronia. Nosił jeszcze ośmnastowieczne warkoczyki przy uszach. Opowiadał, że kiedy się „złe“ odezwie w lesie, nie trzeba mu się odzywać nawzajem; do trzeciego razu zawoła, kiedy byś mu odpowiedział, przyjdzie. Wtenczas trzeba serdak włosem do góry obrócić, strzelbę pod kolano kurkiem na dół i strzelić. Ale komu się złe odezwie, złe wróży. Szedł Staszek Walczak na robotę na Węgry jesienią, kiedy z hal już zegnali. Nocował w lesie pod Pyszną. Zahuczało coś w lesie, jak sowa, ale to nie była sowa. „Hej, wiemy, że nie“. „O haj!“

Zahuczało drugi raz. Nie odezwał się. Kiedy na drugi dzień koło tego miejsca przechodził, włosy mu na głowie stanęły. Żeby się był odezwał, byłoby zahuczało trzeci raz i przyszło.

Nocowaliśmy na Małej Łące w sierpniu. W październiku „odebrali“ Staszka do wojska. W grudniu się zastrzelił.



Ileżto już lat temu?.. Było ognisko ogromne, jakaś gruba Kaśka, która nam zęby pokazywała w uśmiechu. Chcieli mi jej „pożyczyć“, śmiali się. Miałem coś szesnaście lat...

A potem wpadła mi w rękę książka, która ma dla mnie serdeczny urok. Jest to „Dziennik podróży do Tatrów“ Goszczyńskiego.

Goszczyński nie umiał — niestety i ku nieodżałowanej szkodzie! — przedstawić dawnego górala. Zdaje się, że nawet zamiar taki nie powstał nigdy w jego głowie. Notował wprawdzie pieśni góralskie, ale wszystko to, co kładzie góralom w swoim „Strasznym strzelcu“, albo „Sobótce“ jako cudzysłów w usta, niema albo wcale, albo prawie wcale typu, czy charakteru. Widocznie nie miał odczucia chłopa, ani nawet pamięci, bo że chciał i odczuć i zapamiętać, to widoczne. Nie potrafił nawet zaobserwować dokładnie wymowy. Ale co jedno odczuł, co zrozumiał, co pamiętał, to fantastyczny świat ducha ówczesnej góralszczyzny. Goszczyński do tego miał specjalne usposobienie. Przedewszystkiem wierzył. Wierzył po prostu w tak zwany nadprzyrodzony świat i pisał:

„Ależ bo wówczas, ziemio staroświecka,
Dzisiejsze dziwy dziwami nie były,
Grały widomie niewidome siły
I pilnowały człowieka, jak dziecka...“

Jemu „dziwy nie były dziwami i widomie mu grały niewidome siły“, podobnie, jak Mickiewiczowi. Ta strona duchowego życia Podhalań zajęła go przedewszystkiem, ta go znalazła wyjątkowo usposobionym i — prawdziwy romantyk — chłopca kochał teoretycznie w stosunku do sztuki, a rozumiał, czuł i umiał odtworzyć naturę i świat fantazyi chłopskiej.

To też ustępy w jego „Sobótce“, te w „Dzienniku“ są najwięcej warte. Wówczas zabobonna, czy raczej dawna wiara Podhalańców była już na wymarciu, ale jeszcze nie była wymarłą, jak teraz; „widywano“ jeszcze mnichów, widywano na polach Łopuszny trupa głowę, co się toczyła i goniła ludzi po drogach, wierzono w króla węzów. A przedewszystkiem byli tacy, co nie „słyszeli“, ale którzy sami „widzieli“. Goszczyński więc znał juhasów, którzy widzieli rybę o kociej głowie, porywającą owce z nad Morskiego Oka, a osobliwie czarne. Znał ludzi, którzy widywali dziwożony. A przyjmował to wszystko z najlepszą wiarą, jako fakty, bo opowiada: „kilkanaście lat temu widywano jeszcze to straszdyło, — dziwożony mieszkały tam a tam, w takiej a takiej grocie“ i t. p.

Ten świat nadprzyrodzony umiał w swoich poematach przedstawić, jak to tylko romantycy i to najwcześniejsi z pośród nich umieli. Zarówno w „Zamku Kaniowskim“ jak i „Sobótce“ jest pod tym względem mistrzem.

A cuda wówczas opowiadali mu chłopci o górach, o skarbach w nich zakopanych, o pieczarach lśniących od złota i dyamentów. Tatry nie były jeszcze tak „obite“, „odeptane“, jak są teraz. Jeszcze miały w sobie mrok, tajemniczość nawet dla ludzi, którzy je znali, jak jakaś stara świątynia pogańska, albo stary święcony pogański gaj musiały ją mieć dla ludzi, którzy je znali, dopóki pogaństwo kwitło. Zdolność wiary w cuda, w rzeczy nadzwyczajne — stwarza je i wywołuje.

Goszczyński, przybywszy w Tatry, dał się porwać i ogarnąć niesamowitemu urokowi tych gór; pisze o miejscach, które są „obwiane tajemniczością straszłą i niezaprzeczoną“. „Może to być dziwne dla niektórych, dla niego nie jest bynajmniej“. „Dosyć być prawdziwym chrześcijaninem — powiada — aby sobie rozwiązać tę zagadkę... Mamy kościoły — mówi — pod władzą ducha Bożego wyłączną; muszą być także miejsca, gdzie wyłącznie zły duch panuje. Nasz lud czuje to na pewnych mieszkaniach, a my możemy widzieć na pewnych miastach, na całych narodach, uległych mniej więcej złemu, lub dobremu duchowi“.

Przez ten mistycyzm Goszczyński bierze cały ten świat, z którym się spotyka, a który mu niesłychanie silnie przemawia do duszy, podobnie, jak Mickiewiczowi przemówiły do duszy guślarskie obrzędy litewskie i wiara w nadzmysłowy świat, jak weń wierzy lud. Ci też dwaj z poetów polskich

stanowią pod tym względem osobną dwóję, może, a nawet z pewnością tak indywidualną i tak charakterystyczną, jak w żadnej innej literaturze. Mistycyzm Mickiewicza przedewszystkiem dotyczy ducha ludzkiego; mistycyzm Goszczyńskiego przedewszystkiem natury.

„Cóż to jest, góry, — powiada — ta dziwna potęga przywiązana do was? Owa tajemnica, która waś uświęca najświętszemi chwilami życia ludzkości? Zkąd to jest? dlaczego to jest? Jakiegokolwiek są tego przyczyny, nie są one materyalne; tak ogromne skutki dla ducha ludzkiego nie mogą iść z przyczyn niższych, materyalnych... Tajemnica ta musi kryć się w owej waszej części, której zmysłami dotknąć nie możemy...“ „w tem — mówi — co podnosi was nad poziom ogniami podziemnymi, wybuchami jakichś tchnień nieznaných, niełocieczonych w swojej pierwszej przyczynie, potęgą jakichś wysileń tajemniczych, jak natchnienia wielkiego ducha podnoszą człowieka w czynach wyższych nad poziom ludzkości. Może coś być w was, co ma związek z nadzmysłową istotą człowieka, niezależny, różny od wpływów fizycznych, a zatem silniejszy, bliższy i ściślejszy“.

Pod wrażeniem gór Goszczyński widzi w sobie „płomień, nie mający nic wspólnego z materyą, nie zależący od otaczającej go sfery materyalnej“, widzi swoje uczucie „więcej roztopione, więcej rozlewające się, pełniej gorejące, silniej bijące ku górze,

ku światom wyższym“ — to jest doznaje tych wrażeń, jakie w górach opanowują ludzi, idących ku nim nie tylko dla celów turystycznych, sportowych, lub dla mody. Niezmierna niesłychana szkoda, że czy to warunki życiowe, czy jakie inne przyczyny, nie dozwoliły Goszczyńskiemu tego wszystkiego, co w górach czuł, wypowiedzieć w walekim i godnym Tatr poemacie, którego dotąd нема.

Mówiąc o „artyzmie“ górali, mówił Goszczyński to, co się po latach 70-u bynajmniej nie zestarzało, co tylko dziś dopiero może być dobrze zrozumianem. Mówi: „lud nie zna się na formach, ale dziwnie zna się na duchu rzeczy; może nie znaleźć formy odpowiedniej swoim pomysłom prawdziwym, poczuciom pięknym, ale też fałszowi nie daje formy, ludzającej prawdą, nie poświęca formie ducha prawdy... Jego sztuka, jego literatura ma tę wyższość nad naszą, że utwory jej nie są martwe, jak nasze posągi, obrazy, poematy — przeciwnie żyją, działają, wiążą się z życiem ludu, stanowią część żyjącą, działającą jego życia...“

„Lud prosty wierzy w to, co tworzy, nie igra ze swoim utworem, ze swoją sztuką, nie rozkoszuje się nią, ale skoro wchodzi na jej pole, to z potrzeby poważnej, dla celu poważnego... Jeśli pieśń ludu tęskni, skarży się, narzeka, boleje, cierpi, to był ktoś dotknięty istotnem nieszczęściem, przyciśniony szczerym smutkiem, obarczony cierpieniem, a tak

rzeczywiście i silnie, że musiał nadmiar stanu wewnętrzznego wylać na zewnątrz w pieśni“.

W końcu korona obserwacyi, którą nad ludową sztuką zrobił, obserwacya wspaniała i przepyszna: „Kiedy my musimy — powiada — nasze pomysły przyklepać do kawałka papieru lub płótna, wdłubywać w bity kamienia; tłem utworów ludu jest cała ziemia rodzinna, cały kraj rodzimy, niebo rodzinne, a nawet i piekło, kiedy tego potrzeba, zgoła cały świat widomy i duchowy. Jak to jest olbrzymie w porównaniu do naszych robót! Chcesz zdarzenia w obrazie? Oto tym obrazem jest cała okolica, nie pędzłem skopiowana, ale żyjąca tchem wieków. Trzeba mu posągów dla wypadku, lub człowieka, to całą górę w posąg zamienia. Jeżeli puści w obieg jakie uczucie pod postacią pieśni, to wszystkie głosy ludu, wszystkie serca grają jej muzyką...“ i t. d.

Zatrzymałem się dłużej nad tą starą książką, o której dziś już nawet antykwaryusze czasem nie wiedzą. Wiele jest w niej rzeczy wypowiedzianych nam już może obcym stylem, ale zawsze jednakowo prawdziwych, jednakowo niezmiennych. To, co Gószczyński pisze o pieśni ludowej, to czuje każdy, kto ją słyszał, kogo obchodzi ta pieśń. Tam żadne słowo nie było położone napróżno, bo wszystko było potrzebne u ludzi, „którzy nie mają potrzeb zbytkowych“.

Lud przechował pieśń w dosłownem tego wy-

razu znaczeniu. Niema u niego poezyi deklamacyjnej, która się nazywa pieśnią, jest tylko pieśń istotna, śpiewana. A pieśń ta, jak to Goszczyński zauważył, łączy się z życiem, jest niem. Patrzenie na tego starego górala. Zagrali mu nutę staroświecką, szeroką, bujną, śmiałą, od której duch się dźwiga. Dźwignął się i on, bo się trochę był „przy napił“ i leżnął dać spoczynek siedmdziesięcioletnim kościom. Dźwignął się, słucha. „Panie! powiedźcie mi — mówi — co to jest za krew w człowieku?! Jo, kiedy usłisem muzyke, to jaze rosnem!“ — i podnosi ręce w górę, jak stary orzeł stare skrzydła. Już jest przed muzyką, już tańczy. A przypomina mu się coś — ta nuta, staroświecka, dawna, coś mu przypomniała. Taniec nie koniecznie jest objawem i wpływem wesela. Taniec może być rzeczą smutną i widziałem starych chłopów, którzy bardzo smutno tańczyli. Taniec góralski nie jest tyle przelewającym się za brzegi momentem wesołości, ile potrzebą wydania z siebie nadmiaru energii, temperamentu, bujności, „matury, chuci“, jak to Podhalanin nazywa po swojemu. Podhalanin się w tańcu nie weseli, ale zapamiętuje, unosi, upaja. Jest to jakiś strasznie stary i pierwotny taniec, podobny do tańca dzikich ludów; ma on swoją formę „wojenną“, jak u Indyan, a ma nuty i formy takie, że może wyrażać największy smutek i żalność. Nuty do tańca bywają w formie jakichś żałobnych zawońdzeń. Mówię tu naturalnie o tym tańcu, którego

nie tańczy się na pokaz dla gości i który istniał dawniej.

Musiała być jakaś dziewczka piękna i czarodziej-ska. Musieli się schodzić gdzieś popod szopy, albo pasali razem i tam się zalubili. Bo była jego „freirką“, była mu kochanką.

Ej, powiedźcie, powiedźcie, ej tej mojej freirce,
Ej niek ona sie wyda, ej za kogo sama fce!

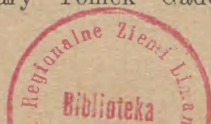
Musiała go zdradzić, musiał się o tem dowiedzieć. Może z wojska przyszedł na urlop, może był dwa, trzy dni, poszedł do karczmy, albo na wesele, tam się dowiedział, że mu nie jest wierną.

Ej, powiedźcie, powiedźcie, ej tej mojej freirce,

Ej freirecko moja, ej uciekoj do pola,
Ej by cie nie zabiła, ej prawa rączka moja!

Jest to zgrzyt, jęk, ten stary chłop siedmdziesięcioletni ma w tej chwili w sobie serce dwudziestoletniego parobka, taką ma siłę pamięci, taką świeżość krwi, taki jeszcze ogień w żyłach.

Podnosi się do góry, palce zakrzywiają mu się w powietrzu, jak szpony orłowi. Nuta jest tak ponura i dzika, jak smrekowy las, taniec tak ponury i dziki, jak jesienny wiatr, wrażenie udziela się wszystkim. Stary Tomek Gadeja odtańcowuje



swoją przeszłość, swoją młodość, on odgrzebuje ją swemi nogami, wydziera ją czasowi i śmierci, on tańczy swoją wściekłą młodzieńczą krewkość i swoją starą siedmdziesięcioletnią żalobę po niej.

Ej wirsycku, wirsycku, ej dałbyk cie ozłocić,
Ej kieby sie mi mogła, ej moja młodość wrócić!..

Prawie że lka. Zatacza się, bo jest „przynapity“ trochę, na muzykanta, obejmuje nas wszystkich, ściska i powiada do mnie: „Ej panie, mojej młodości mi zol!“

Robi się bardzo smutno w izbie. Naprzód wszystkim nam się przypomina, że „i my się miniemy po małućkiej kwili“*), a potem, że nam jest, lub będzie żal przedewszystkiem tego, czegośmy nie użyli, a temu staremu Tomkowi Gadei żal jest tego, co przeżył. My mało przeżywamy, my tylko wyobrażamy sobie cobyśmy mogli, cobyśmy byli mogli przeżyć, a on żył! Żył tak, jak mu było żyć najwłaściwiej, najwrodzeniej. Kochał się, chodził na Liptów i Orawę, rozbijać, bił, śpiewał, tańczył i szukał przygód, ponieważ był namiętny, silny, odważny i awanturniczny.

Ta ukochana moja śpiewanka zbójników:

*) W ośm lat później zabił się Klimek Bachleda, u którego wtenczas mieszkałem i umarł Gadeja.

Ej jo se pijem dwa dni, ej jo se pijem trzi dni,
Ej jo sie o piniondze ej nie turbujem nigdy!

A przytem to, co odznaczało raubritterów całego świata: ogromna godność, poczucie honoru, powaga i to dostojęństwo, jakie wyrabia w człowieku przekonanie, że się nie lęka śmierci, że jest śmiały i tej śmiałości swojej świadomy i pewny.

Ej a kiej mnie złapiom, to jo budem wisiał,
Na wiérsku jedlicki budem sie kołysał!
Ej obróć ze mnie, mistrzu, ockami ku drodze,
Niek jo sie napatrzem tej zbójeckiej chodze! (ścieżce)

Pogarda życia ma swój osobny, najwyższy urok. Ci chłopci, którzy tu pili i tańczyli, a tam, o dwa kroki, czyhała na nich śmierć, lub sami ku niej szli, odwagą tą kupują sobie sympatyę.

Abo mie zabijom, abo mie obwiesom,
Abo mie ptoskowie po wirskak ozniesom!...

Jest fantazyja w tych ludziach, szeroka, słowiańska; zbójnik, jak pije, to tak płaci, że aż go „aniołowie święci do nieba weznom“. Ma pieniądze — zkąd wziął, to wziął — i zna „co je jest wart“, „kelo warce“.

Ej, kiebyk ja wiedział —

(powiada, widząc zdaleka szubienicę) —

Na wtórej byk wisieć miał,
Od dołu do wirsku pozwybijać byk ju dał,
Ej od dołu talarami,
A do wirsku dukatami,
A na wirsku złotu kawku,
Hań połozem moju hławku!

„Pana“ wieszają!

Opowiadania starych chłopów robią wstrząsające wrażenie. Ten spokój, z jakim taki chłop powiada o śmierci, o zabitych, porąbanych, postrzelonych: „ja ta wiem, bo ja ta nieraz s tém robiel“ — pozwala się domyślać, co za rzeczy ten człowiek przeżył. Opowiada zazwyczaj zresztą bardzo dyskretnie. Nie chwali się i zawsze większą część zatai. „Oni ta wiedzom między sobom“ — a zresztą co komu do tego.

Do niedawna zachowane życie instynktów, pierwotny las, ścięty, wbity w ziemię, przysypany cieżką warstwą piasku, którego dopiero z czasem wiatr naniesie tak, iż las przepadnie pod nim bez słychu i śladu.

A co człowiek wyobraża sobie, że byłoby „piękne i charakterystyczne“, to tamci ludzie robili.

Taki zbójnik, kiedy się ukrywa przed pościgiem żandarmów gdzieś u znajomego bacy na hali, w no-

cy do szalasu przychodzi, a we dnie zabiera ze sobą z pomiędzy juhasów jakiego muzykanta, idzie gdzie na ubocz między kosodrzewiny, albo do lasu, legnie i każe mu grać. To znowu wbije ciupagę w ziemię i koło niej tańczy. Opowiadania Podhalańców są pełne plastyki. Odrazu się widzi zbójnika, który „seł ku muzyce ode dźwirzy tańczący. Portki, za łaskom, miał zielono wysyte, serdak biały, kapelusek z takiem małym skrzelem z kostkami, pas nabity klamrami i mosiężnymi guzami po pazuchy, bez ramie tórbkę, z pasem nabitym gwoździami. Fajke se w gębie trzymał, ciupagę w garzei. Polaniarze (Kościeliszczanie) krzyżwe hłopy, ale ten ponad syćkik skakał. Tęgi shrubść, urośniony w sobie, kie cupnon, to sie widziało, ze dyle połomie“. Tak jeden z białczańskich zbójników przedstawił się kiedyś tam młodziutkiemu Bartkowi Obrochcie *) i tak mu został w pamięci. Przeszedł taki chłop przed oczyma chłopca, jak duch, jak mara. Jeżeli szedł na jaką wyprawę „na Węgry“, mógł tu po swojej stronie tańczyć ostatni raz. ●

Mikulas, Mikulas, ty se bystre miasto
Do tobie przestrono, ale z tobie ciasno!

mówi stara zbójceka pieśń o liptowskiem mieście
Lipto Sent Miklos.

*) Bartek Obrachta, sławny skrzypek Chalubińskiego.

Ludowa pieśń wypowiada to wszystko. Chłopak, który się czuł w sile, musiał iść na zbój.

Darmo wy mnie darmo do skoły dajecie,
Se mnie zbójnik budzie, darmo nakładzicie!
Nie bedem ja gazdom, nie bedem rolnike,
Ino bedem chodził zbójeckim hodnike!

Jest to zresztą powód do dumy i radości.

Z mójego Janicka bedzie se tys zbójnik,
Bo se przetorował do Luptowa hodnik!

daje mu się tylko dobrą radę:

Ucies ze sie, ucies, mój Janicku, ucies,
Kie cie łapać pudom, do wirsycka uciec!

i „cieszył się“ on i „cieszyli się“ z nimi inni: rodzice, ciotki, stryjowie, siostry, kochanka. To też taki stary chłop, kiedy sobie te czasy przypomni, a „przynapity je trohę“, płacze i płaczą ci, którzy tych czasów już zaledwie tylko zasięgli najwcześniejszą młodością.

Ludowa pieśń wie wszystko, ona zachęca:

Nie bój sie, Janicku, nie bój sie tego nie,
Orayskiego zamku, luptowskik siubienic!

zresztą zostanie ci sława:

Janickowe imie hodzi po dziedzinie,
Janicek zaginon, imie nie zaginie!

Wiadomo, że Achilles przenosił żywot krótki a sławny, nad długi a nie „honorny“. „Hłopu umierać w pościeli nie honorna rzecz“ — mawiał stary bohater Sabała.

W takim czasie zeszli się jedni „ludzie na wymarcu“ z drugimi ludźmi „na wymarcu“. Ostatni żołnierze polscy spotkali się z kończącymi się „starodawnymi chłopami“ na Podhalu.

Z takich czasów pochodzi Seweryna Goszczyńskiego jedna z najdroższych dla mnie książek, „Dziennik podróży do Tatrów“.

Pisałem w Krakowie 1902.

ZBÓJECKA CHAŁUPA

Pewnego razu, w początku listopada, straszliwy wichur halny, szalejący trzy dni i dwie noce, wyłamał tyle drzew w Tatrach, że miejscami całe ubocze gór zawałone były łomem smrekowym, z pośród którego tylko gdzieniegdzie sterczał buk, z przemrożonym czerwonym liściem, ostały na głębiej idących w ziemię korzeniach. Potem przyszedł deszcz, potem śnieg, a potem ku końcu listopada chwyciło nagle w nocy tęgie zimno.

W tę noc dwaj bracia Łusecykowie z Bukowiny, Józek i Staszek, Jędrzek Kośla z Pardółówki i Hilary Pitoń z Kościelisk przybyli na polankę w głębokim lesie pod Koszystą. Szli oni z daleka, ze Spiżu, i dość ciężko nieśli, obrabowali bowiem sklep żydowski nie tylko z pieniędzy, ale i z rozmaitego towaru, z płócien i sukna, które się mogło dobrze żydom nowotarskim sprzedać, a nadto Kośla niósł na plecach sporą sarnę, którą mu się udało kamieniem w Białej Wodzie, trafiwszy w sam łeb, zabić. Na podziw on kamieniami rzucał, a jeszcze tę sztukę posiadał, że kucnąwszy i ujawszy się rę-



kami za wielkie palce u nóg, potrafił na wysoki stół wyskoczyć. Biegał też tak, że gdy chwycił psa za ogon, mógł go ścigać ile chciał. Nosił on przydomek Kośla Wartki, albo Goniec. Ale zwano go także czasami Horny Jędrak, niewiadomo, czy dlatego, że był bardzo dumny i wyniosły, czy też dlatego, że mało co w dolinie, a zawsze prawie w górach siedział. A może z obu powodów.

Miał on twarz jasną, jak słońce, pociągłą i zawsze uśmiechniętą, a skaleczyć człowieka znaczyło u niego tyle, co zamachnąć się ręką. Wysoki był i gibki jak sosna. Dwie śmierci ludzkie miał na sławie.

Starszy Józek i młodszy Staszek bracia Łuscykowie chłopcy były tęgie, szerokie w barach, ogromnego wzrostu, smagłe na twarzy. Nosili włosy długie z kieckami czyli warkoczami od skroni po ramiona, w kieckach zaś powplatane mieli szkiełka i świecidełka. Włosy mieli czarne, zawsze starannie smarowane masłem, a byczki młode brali na plecy jak owce. Mieli zwyczaj, że sobie świecili na drogę, podpalając jaką chałupę na kraju miasta lub dziedziny, gdzie rabowali w nocy. Dlatego nazywano ich Łuscykowie Jaskrawi.

Czwarty, Hilary, czyli Filary, Pitoń z Kościelisk, chłop był średniego wzrostu, nosił zaś przydomek Przewijac, przedziwnie się bowiem umiał przekręcać pod ciupagą i różne sztuki potrafił dokazywać łamane. Blondyn był o kręconych włosach, niezró-

wnany złodziej baranów i wołów po polanach, a przytem grywał na piszczałce, czem uprzyjemniał długie marsze i noclegi w pustkach.

Hersztem, czyli harnasiem tej bandy był najstarszy i najroztropniejszy Józek Łuscyk, wychowany w szkole nieboszczyków już Józka i Jaśka Nowobilskich, ze słynnego również ze swej starożytności, jak i ze zbójowania, sołtysiego rodu z Białki, których imiona zawsze ze czcią wspominał i często wieczne odpoczywanie za ich drapieżne dusze odmawiał.

— Niek im ta Pan Jezus siedm dwaścia ozbityk sklepów i troje śmierzci ludzkiej odpuści! Fajne były hłopy! — mawiał.

Staszek Łuscyk watrę na Polance złożył, ale zimno gryzło takie, że trudno było wytrzymać. Księżyc jasno świecił, ogląda się Pitoń po powalonych drzewach, skrobie się w głowę i mówi:

— Hej, kieby to tak ś nik hałupa urosła! Byłoby się ka zagrzać!

Popatrzał na niego bystro Staszek Łuscyk.

— Wiés ty, Filary, onaby tu mogła wyrosnoné wnet. Nie trza nie, jino pookrzesywać konary, pnie przykrócić i descek na daf. Przydałaby się taka hałupa i nieroz.

— E dy nie prec do traca w Porominie po deski — odzywa się Kośla, podnosząc głowę z nad sarny, z której zdejmował skórę, a oczy mu się zaświeciły na myśl, że i w najteższe mrozy nieko-

niecznie trzeba będzie siedzieć w ojcowym domu na Pardółówce.

— Wiécie głopy tak zimno, bierny się do roboty — mówi Pitoń. — Hoćby skrony zagrzania.

Józek Łuscyk bardzo przychwalił zamiar. — Będzie się gdzie i nieraz przenocować i bydłę, gdzie z pod Murania, w razie potrzeby, przetrzymać, i — Bóg to wie, co może być — i czas dłuższy, gdyby tak wypadło, poza ludzkiemi mieszkaniem przesiedzieć. Miał on dobrze w pamięci te straszne noce, które przed kilkunastu laty z Jaśkiem Nowobilskim w grocie Magórskiej musieli przetrwać, bo na nich hajducy niedzidzey obławę jak na wilków zrobili. Odmarzły mu wtedy dwa palce u lewej ręki, które odciął siekierą.

— Takie to było jak z drewna; położyłek na pniaku, odcionek — opowiadał.

Pomysł chałupy w borze, przez który przedrzeć się mógł prócz nich i im podobnych, tylko niedźwiedz i wilk, wydał mu się doskonałym.

Nie trza będzie już śpiewywać:

Na zielonym bucku listECKI bielejom —
ka sie dobrzy chłopcy bez zime podziejom?...“

— Sam tes Pan Bóg nagodził drzewa i skoda zmarnić — mówił. — Pół roboty ubyło, bo nie trza rubać. Niekze by kielo telo daru Bozego nie zgnije.

Gdy więc Kośla zajęty był sprawianiem sarny, trzej drudzy jęli ciupagami okrzesywać konary i wierchowce smreków leżących. Nazajutrz Staszek Łuscyk i Kośla poszli kupić desek w traczu w Poroninie i sprowadzili je pod las, w tajemnicy dokąd je wiozą. W lesie trzeba było już wlec, bo wóz nie miał któredy jechać.

Na wieczór przecie, wzięwszy się we czterech do roboty, deski mieli na miejscu.

Koślową sarnę jedli, wódkę, przyniesioną z Węgier, wyśmienitą borowiczkę, od której oczy bieleły, pili, mieli gwoździe, młotki, cieślice, wszystko, co trzeba. Zmordowali się robotą, ale byli w doskonałych humorach i Pitoń już grał na piszczałce, a Staszek Łuscyk już się szykował do tańca, kiedy Józek się zamarkocił i rzekł:

— Ej, hłopy, zabacyli my jedno. Piły nimamé. Jakoz bedziemy drwa rzezać, abo i deski?

Więc ponieważ kupować piły już im się nie chciało, bo dużo pieniędzy minęli, a pożyczanie gdzie w okolicy we wsi zwróciłoby uwagę: Wartki Kośla i Staszek Łuscyk wybrali się zaraz w drogę i ukradłszy dwie piły w traczu, powrócili z niemi przed ranem.

Następnie Józek Łuscyk przeżegnał miejsce, na którem chałupa miała stanąć, uczynił sobie również krzyż na czole, złożył ręce i odezwał się w te słowa, z oczyma ku niebu:

— Panie Boze Wsekmogący, w Trójcy Świentej

jedyny, Panie Jezusie Przenajświętszy ukrzizowany, Duhu Święty, Matko Boska i Wy syscy Święci Pańscy Janiołowie, bądźcie nam na pomocy, coby sie nam robota wiedła i powiedła, coby przy niéj ani ś niéj nijakiego niesczęścia nie było, ale Tobie, Panie Boze, na kwałę, ludziom na pozytek coby ta chałupa sie wzniesła, a błogosławieństwo Boskie coby ś niom wse było coby zaden s nas nie chorował, coby nijakiéj zdrady nie było, ani nijakie bydle, koń, krowa, cy bądźco ze statku, cy to owca, dojka, jarka, abo co fee, niek bedzie, cy to ze Śpisa, cy ode wsi, cy kabądź inéndéj ukradzione nie skapało, ale coby my sie haw zdrowo howali, piéniondze mieli i Twoje Boskie Imie, Ojce Przedwiecny, falili: tak nam Panie Boze w Trójcy Świentéj Jedyny i Ty Panjezusicku Przenajświętszy dopomóz. W Imię Ojca i Syna i Duha Świętego. Jamen.

Poczem niedługo chałupa na polance pod Koszystą była gotowã. Ludzie nazwali ją chałupã zbójeckã.

I darzył Bóg jej budowniczym, zdrowi byli, piéniądze ludzkie mieli, ale im przyszło na koniec kolejno, a niedługo.

Józek Łuscyk, herszt bandy i główny budowniczy, bo się najlepiej na budarce rozumiał, zawisł najpierwszy za żebro na haku w Mikułaszu Liprowskim i póty wisiał, aż zgasł i tam leży. Staszek, brat jego młodszy, umarł na zapalenie płuc, na-

piwszy się wody, zmęczony pościgiem straży celnej granicznej, gdy się z tytoniem do Galicyi przekradał. Umarł we wsi. Pitoń urwał się u kraty wiśnickiego zamku, gdy uciekać próbował i odpadłszy z wysokości, rozbił głowę na miejscu. Na cmentarzu wiśnickim pochowany. Wartki, albo Horny Kośla, ostatni zeszedł ze świata. Zginał on w Staroleśnej Dolinie przy niżnich stawkach od kuli spińskiego strzelca na polowaniu na kozy. Tam leży.

Pochował go śnieg, a na wiosnę orły ciało rozniosły.

Tak się czterej budowniczkowie zbójckiej chałupy skończyli.

Ale chałupa widziała potem wiele jeszcze rzeczy.

W niej odbyło się sławne, a tak tragicznie zakończone wesele Zośki Mocarnej z Polan, ze słynnego z siły rodu Mocarnych, od tego, że nad moczaryskami siedzieli, wiodących nazwisko, która najtęższych chłopów waliła, drzewa w lesie ścinała, a mając lat około trzydziestu, stowarzyszyła się z bandą zbójcką Franka Topora Huciańskiego z Hrubego i stała się postrachem zatatrzańskich dziedzin murowanych. Nigdy ona nie zaznała uścisku miłości, bo się każdy bał z nią zespolić. Gdy jednak zasłynęła bogactwem z łupieży, a brała dobra zdobytego, ile chciała, gdyż się nikt z nią o to targować nie śmiał, chciwy, choć nie biedny Kuba Pitoń Jaśkowy z Mołkówki w Polanach począł się o jej rękę ubiegać. Odradzali mu ludzie,

a i ona sama mówiła: Kuba, daj pokój, bo nie zdoles — ale on, łakomy bogactw, nie zważał na odrady. Że się Zośka nie bardzo chciała w kościele chochołowskim pokazywać, bo tam we wsi zamożnemu i szeroko spokrewnionemu gaździe, Michałowi Tylce, świeżo parę koni ukradła, przyszedł jej pomysł w dobrze sobie znanej zbójckiej chałupie wesele odprawić.

Jechał tedy cały orszak weselny z pod lasu konno w głąb, ze śpiewaniem i muzyką. Na objuczonych koniach wieziono beczułki z winem i piwem i cała puszcza odwieczna napełniła się gwarem, któremu wtórowało dalekie wycie niespokojnych wilków. Zośka wysypała na wesele talarów kotlik. Grzmiały i pistolety i strzelby, zapalono watrę, której ogień bił pod same wierchowce smreków, a łuną spływał, jak pożar. Ale Kubie pękły ku ranu trzy żebra dolne, jedno z prawej, dwa z lewej strony, i tam, gdy go dla bólu wielkiego i bezdroża zawieść do rodzinnych Polan na Molkówkę nie było można, do trzeciego dnia skończył.

Pochowano go w lesie i postawiono mu krzyż, a długo słyneło przysłowie: Wzion się jak Kuba Pitoniów ku Zośce Mocarnej.

Ona zaś żałowała go bardzo i mówiła, że nie była winna, że się z nim chciała obejść jak najostrożniej, ale ją na małućką kwileckę dojeno — i mas....

Tam też w zbójckiej chałupie kryło się przed

krzykiem i klątwą ludzką nieszczęsne rodzeństwo, Jaś i Teresia Słodyczkowie z Zubsuchego, ona lat siedemnastu, on dwudziestu, którzy wbrew Boskim prawom i człowieczym instyngtom zakochali się w sobie i uciec z rodzinnej wsi i z domu macierzystego musieli. Tam maleńką dziecinę, zgasłą od zimna i głodu, gdy sami nią przymierali, pod starym smrekiem pogrzebali, a Jaś, który do szkoły w Nowym Targu chodził, korę z drzewa odłupał i następujący napis na tym nagrobku wyrył:

Haw spocywo
małe dziecko niekrzczone
umarło od mrozu i ze mace mléka
w piersi brakło
nie karz go Boze piekłem
bo Ci przecie nic nie winowate
Amen.

Długo ten smrek z tym napisem stał aż go piorun roztrzaskał. Różnie z tego wróżyli ci, co świadomi byli: jedni, że Bóg chciał dać poznać, że prośbę przyjął i, choć niechrzczone, dziecko do nieba wziął; drudzy, że chciał pokazać, iż tak w ogniu piekielnym gorze, jak ten smrek zgorzał od piorunu.

— Bóg jako Bóg — mówiła stara Gadejka, ich stryjna — taki je, jako orzeł po niebie. Wtóż wie, ka zamyśli? Nie przeciwi mu sie hmura, ani dysc. Ka fee: polecie. Taki tys i Pan Bóg — ślebodny.

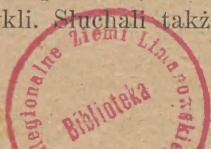
Tam w zbójeckiej chałupie, Wojtek Samek ze Zakopanego, zacięty strzelec na niedźwiedzie, zwa-

ny „Widowacem“, bo mu sie przedziwne rzeczy i jakich nikomu drugiemu widzieć się nie zdarzało, pokazywały (on to widział rybę z baranią głową w Morskiem Oku), widział raz w nocy październikowej, podczas pełni, straszliwego jeźdźca Tatr, rysia na karku jelenia, jak przelatywał przez polankę popod zbójecką chałupą, niesiony wichrem przez zrozpaczone zwierzę. Słyszac zdaleka jęk i ujrawszy straszliwe zjawisko, zląkł się zrazu Samek, bo myślał, że widmo, i nawet krzyż Pański uczynił, a jeleni przemknął i znikł w gęstwinie.

Tam widział on także rozpaczna walkę niedźwiedzia z wilkami, których było pięć. Bór cały trząsł się od ryku i harkotu, a kurzawa młodego śniegu wzbijała się nad kupą zwierząt w powietrze. Niedźwiedź zaskoczony zniemacka nie zdążył uciec do lasu ku drzewom i wilki go przysiadły. Samek patrzył z drzwi zbójeckiej chałupy, z dubeltówką w ręku, na tę walkę. Było mu skóry niedźwiedziej żal, ale był ciekawy, kto zwycięży. Niedźwiedź bronił się mężnie, a cofał się ku lasowi zpomiedzy młodych smreczków. Aż się wojenna dusza Samkowa radowała patrząc, gdy potężny zwierz wspinał się na tylne łapy i machał mocnymi ramionami, rycząc i sapiąc. Ale zręczne wilki uskakiwały w bok, a drogę do lasu zagradzały. Już jeden uderzony w głowę, runął z jękiem na śnieg, wylewając juchę rozdarta paszczą; już drugi z rozprutym pazurami brzuchem wyleciał

wysoko w powietrze i padł tarzać się we własnych krwawych wnętrznościach; gdy największemu z wilków udało się z tyłu na niedźwiedzia skoczyć i po za uszy wbić mu kielce w kark. Wtedy drugi wilk uczeplił mu się gardła, a trzeci również na kark skoczył. Przyduszony i zdławiony niedźwiedź upadł, rozkrzyżowując łapy. Teraz uczynił się jeden potworny kłęb ciał i taki jęk, ryk i charkot, pomieszany z wyciem dwóch obok konających wilków, iż Samkowi strzelba drżała w rękach od przejmującego wrażenia. Może pół godziny zeszło na przewracaniu się potwornem walczących zwierząt, które splątały się tak, że trudno było jedno od drugiego odróżnić. Wreszcie niedźwiedź zagryziony przestał się bronić, a wilki, czerwone całe od posoki z ran, poczęły szarpać jego mięso i chłeptać krew. Wtedy Samek dwoma strzałami zabił dwa, a trzeci uciekł.

Opowiadał on to, wróciwszy do domu, w ciepłej izbie wieczorem, jedząc dymiącą bryję, obficie polewaną gorącym słodkim mlekiem, a uważnie słuchała go żona, z gazdowskiego rodu Sobczaków, trzech synów dorodnych i trzy piękne córki o wysokich piersiach i krasnych twarzach, które płótno tkwały na krosnach, póki dniało, a teraz siedząc ta na ławie, ta na konewce, owa na krzeselku, popierały okrągłe brody na rękach i słuchały jednej z tych cudnych opowieści, które tatuś z gór przynosić byli zwykli. Słuchali także dwaj kumotro-



wie, przyjaciele i towarzysze Samkowi, wtedy wielcy polowacze, Jasiak Walczak ze Skibówki i Maciek Tatar od Tatarów, popijając wino węgierskie, które przed nimi postawiono, i pykając z fajek dym gęsty i duszny. Jutro mieli się oni wraz z Samkiem wybrać ku zbójeckiej chałupie po skóry pobitych zwierząt, które, choć potargane w walce, nie traciły wartości, oraz po mięso i sadło niedźwiedzie, wielce we wszelkich chorobach zbawienne, o ile nie zniweczą bogatego łupu inne wilki, rysie, lisy, kuny i ptaki drapieżne.

Tam miał też Samek przedziwne widzenie, po którym powiadali, że choćby jaki zły był, do nieba pójdzie, gdy mu Pan Bóg taką rzecz za życia użrzeć pozwolił; ale on zły nie był.

Nieszczęście chciało, że wybrawszy się z dwoma towarzyszami w Mięguszowieckiej Dolinie świstaki ryc, natrafił on tam na siedmiu strzelców liptowskich i dostał kulą w bok. Nie byłby on jej dostał, bo mieli czas uciekać, i dwaj jego towarzysze uciekli gdzieś ku Koprowej Przełęczy, ale wojenna dusza Samka nie chciała ustąpić z placu bez strzału i bez okazania Liptakom, że oni syćka dziady, a Polacy hłopy — i zatrzymał się, by nahrubsego wziąć na cel. Bóg jednak nie pobłogosławił, bo strzelba nie wypaliła, czy próch na panewce zamókł, czy co, a natomiast jeden z liptowskich strzelców wpakował mu kulę pod żebra. Z nią ustąpił Samek z pola, świadomy, że ustę-

puje honornie, i przeszedł, ciekąc krwią, Mięgu-szowiecką Przełęcz, przeszedł od Rybiego het po-pod Wołyszyn, nie jedząc i nie pijąc, bo nie było co, wszystko bowiem przy świstaczej jamie zo-stało, aż go nareszcie za Waksmundzką na pérci znużenie zmogło i o to tylko duszy swojej prosił, aby zeń nie uciekła, nim się do zbójeckiej cha-lupy dobije. Tam też padł na cetynę po ostatniem czyjemś legowisku, zbójników, albo strzelców, i został.

Wtedy — ale Boze hroń od gorączki z rany, jino z Boskiego dopuszczenia, dało mu się widzieć, czego żaden góral nigdy nie widział.

Słaby był tak od upływu krwi, że ani ręką, ani nogą ruszyć niemógł, gdy nagle zdało mu się, a było to po zachodzie słońca, ciemnawo, bo mgli-sty był dzień i padał deszcz — że się jakiś cień pojawił we drzwiach, choć były zamknięte, a za-raz potem drugi. Jeden stanął po lewej stronie drzwi, drugi po prawej.

— Śmierć — pomyślał Samek — ale na kigoz-by djaska dwie przisły, dy jedna całemu światu, królom, biskupom i dochtoram, nie dopiéro hłopu poradzi, anik tés tego nie słysał, coby dwie jakie śmierzci bély, abo coby we dwók osobak ho-dziéla..

Ale się zaraz dorozumiał, kto to przyszedł, bo ten cień, co na lewo przy drzwiach stał, powiada: Duso ludzka, pódz ku mnie.

A ten głos był tak, jakby kto na niesmarowanej osi zgrzypiał.

— Oho! — pomyślał Samek i wzdrygnął się. — Dy to djaboł, a to drugie pewnie śmierć, abo jaki pomocnik.

Ale w tej chwili odezwał się ten cień, co po prawej stronie drzwi stał: Duso ludzka, podź ku mnie.

A ten głos był tak, jak sygnaturka w kościele.

Uradował się tedy Samek, że poznał, że to nie pomocnik dyabelski, ani nie śmierć, gdyż ciby takiego pięknego głosu nie mieli. A i to go cieszyło, że się cień ten wydawał o wiele jaśniejszym, niż drugi. Wpatrzył się w nie dobrze Samek, oczy on miał bystre, strzeleckie, i rozeznał wielkie skrzydła nad jednego głową i nad drugiego, ale ten jaśniejszy miał takie, jak jaskółcze, a ten drugi takie, jak nietoperz. Wiedział już Samek, że to anioł i dyabeł.

— Przišli po mojom duse — mówił do siebie. — Wtoz tu bedzie mocniejszy?

Dyabeł powiada: Duso ludzka — mojaś!

A anioł zaraz: Nie twoja, ba moja!

— Moja!

— Nie twoja!

Zaczęli się wadzić.

— Krad! — powiada dyabeł.

— Złodziejstwo hłopska rzec. Nie ukradnie ten, co nie potrefi — odpowiedział mu anioł.

— Pił.

— To za swoje. Cyś mu pozyczał?

— Rad dziewczki widział, kie parobke bét.

— Dybyś je i ty rad widział, kieby cie jino fciały! Nie bój sie!

— Nie spowiadał sie jus cosi ze tzy roki.

— To ksiendzowa sprawa, nie twoja. Jest hań pleban w Hohołowie od tego.

— Kie si ozezłości, klnie.

— E to na tobie! Dobrze robi.

— Świętym nie dowierza.

— Tak tys i oni jemu. Wiem dobrze, bo my towarzisia, a tyś ku nim za podogonie!

Zgniewał się dyabeł na to, rusza ku Samkowi ode drzwi.

— Pódź, duso ludzka! Bierem cie! — zgrzypi i widły zkądś z za siebie wziął i mierzy ku Samkowi.

A anioł do niego: E beskurcyja! Sto djablów zjadło! Cosby ja za janioł bét, cobyk ci haw rady nie dał!

I łap za widły ręką.

— Béło sie cemu przipatrzeć — opowiadał Samek — bo hoć janioł bét, widno po nim, buчны, ale djaboł tys nie słaby. Co sie tén z widłami siepnie ku mnie, to go zaś drugi zatrzymie. Ino mi to dziwno béło, ze nijakiego hałasu nie robili. Gadać gadali tak po ludzku, ale coby co udrypcili, to juz nie. Nie słyhno nie béło. — Nakoniec anioł

wydarł dyabłowi widły i wyrzucił przez dach do pola — śladu w deskach nie było, tylko się trochę zasmędziły — a wtedy się dyabeł zwrtnął i buch we drzwi. Uciekł.

— No, duso ludzka — rzekł teraz anioł do Samka — wybronilek cie.

— Bóg ci tys zapłać, janiolecku — odpowiedział Samek.

— Jakos, Wojtek? Fces iść se mnom do nieba?

Poskrobał się Samek poza uchem, bo mu się jeszcze nie chciało ze świata schodzić, miał dopiero pod pięćdziesiąt lat, a głównie żal mu było tego niedźwiedzia z białą okową na szyi, co w Ciemnych Smreczynach siedział, i wesela u Sobczaków pod Gubałówką, na które proszony był, a tu takiej osobie nie rzecz się sprzeciwiać. Skrobie się więc za uchem i mówi: E, cobyście mi by telo zelzyli, cobyk jino hań ku jednemu niedźwiedziowi zalecieł — — niekze ta jus to wesele u Sobczaków bedzie wase, jak nimoze inacyj być.

Nie mówił mu ta, jaki ten niedźwiedź, abo ka, bo co sie ta janioł na strzelectwie rozumie.

A on powiedział: No to niekze sie stanie według słowa twego. Ostańże jesce i idź na tego niedźwiedzia.

I wzniósł się na skrzydłach i wyleciał przez dach.

— Anik sie go nie zdążył spytać, jak mu na imie, cy je Serafin, cy Herubin, cy jaki, nik mu

nie podziękował, wyjechało to bez daf w pole, jino migło.

Ale ta widać inacyj Pan Bóg umyślił, jako on se mnom ukwalował, bok i tego niedźwiedzia za-
biel, jino mie po tej kuli popuściło i na weseluk
bél i dotykcas zyjem i moze jesce bedem zył nie
jeden rok, ani nie dwa.

Dziwniejszego widzenia nie miał Samek, choć
on z mnichem jednej nocy przy Hińczowym Sta-
wie sie spotkał. Ale to widziadło nie do niego nie
mówiło, tylko przechodząc mimo zaświeciło mu
kagankiem w twarz i poszło dalej.

— Takbyś pedział, co nie kraca, jino płynie,
hoć nogami rusa pod tom sukniom. Brzode ma
w pas, a ocy tak, jako bielmem powlecone. Kap-
tur na nim, do śpicu, co ukrocy, to sie mu to na
głowie huzia. Kaganek se niesie w rency cyrwony,
piékny. Widziałek go iść het dołu ku Popradzkie-
mu. Zaraz potę Wag wylał, co sie w Roziemberku
troje ludzi utopiło i pies.

Tam, w tej zbójeckiej chałupie, spoczywało raz
pięcioro ludzi, którzy dwa woły i barana juhasom
w Koperszadach pod Hawranem ukradli.

Był tam Michał Kamiński z Białego Dunajca,
który nawet do kościoła w Poroninie z nożem
o krzywem ostrzu za pasem chadzał; był Klimek
Zarucki z Zubsuchego, młodzieniec o twarzy gład-
kiej i tak delikatnej, że prawie kobiecej, który
siedm siostr Michnianek jedną po drugiej uwiódł

i z tego słynął, a przytem biegle zbójował; był Jasiek Wala z Walolwej Góry, który umiał płot tak wysoki, jak był sam, przeskoczyć, głośny tancerz i złodziej; była Zośka Mocarna, wdowa po Kubie Pitoniu, i Joachim Topór Jasica z Hrubego, jej stryjeczny stryj, stary ośmdziesięcioletni chłop, ale krzepki jeszcze i śmiały, a do podchodów pod woły jedyny, zwany Gackiem, że nocami wędrowywał wiele.

Uwiązali oni woły przy ścianie, okręcili im pyski szmatami, aby nie ryczały, złożyli ogień i zarznęli barana, aby się posilić. Zajęła się gotowaniem Zośka, ale Kamiński na to nie czekał, tylko surowe mięso nożem krajał, solą tego posypywał i do ust kładł, a co kęs zżuł, przechylał flaszkę z wódką i pił, a pił tak, że nim głód zaspokoił, półtorej flaszki było próżne. Tak on to „warzył w sobie“. Ale nie było po nim znać, bo był chłop silny i zdrowy.

Kiedy się już mięso ugotowało i wszyscy się najedli, poukładali się koło watry i zapalili fajki, a Zośka tak, jak inni. I mało kto taki potrafił kłab dymu puścić, jak ona.

Gwiazdy już poczęły wychodzić na niebo i świecić przez dziury dachu do wnętrza.

Lipcowy był wieczór, ciepły, wiatr polatywał od gór, szumiąc po lesie tak wesoło, jakoby się cieszył własnymi skrzydłami i lotem.

Joachim, czyli Johym Topór Jasica Gacek leżał

blizko ognia, bo on się chętnie już i w niechłodną noc grzał. Chował on bardzo staroświecką modę, bo jeszcze na szyi wieniec z kamyków i kostek nosił, a na głowie czapkę baranią wysoką, śpi-czastą, pookręcaną rzędami muszelek. Głowę miał podobną do głowy starego pułacza, gdyż oczy miał ogromne, wylupiaste, i bokobrody zapuścił, które mu się strzępiły koło twarzy w długich kudłach. Pamiętał siła pradawnych rzeczy, a za młodu pamiętał jeszcze łuk na ścianie w chałupie, z którym jego przodkowie na polowanie niegdyś chadzali. Umiał on do swojej późnej starości przedziwnie toporkiem rzucać, tak, że tę gałąź odciął, którą chciał, i tylko mu jeden nieboszczyk Horny Kośla w swoim czasie mógł w tej sztuce sprostać.

Zostawili mu ojcowie niejaki majątek w roli i statku, co się w lecie na hali Waksmundzkiej, a jesienią na polanach koło Toporowych stawków pasał, on go zaś przyczynił, ale głupio zrobił, bo dzieciom gdy dorosły wszystko rozdał, a złe dzieci, miasto go chować, jak przyrzekały, wygnały go z domu. Tułał się więc i najwięcej zbójników dierzył, bo choć stary był i siły już wielkiej nie posiadał, mógł z młodymi w zawody drogi odbywać, a nawet biec, i ogromne miał doświadczenie w kradzieży, którego od wczesna i w długim życiu nabył.

— Mnie nie było ośmnast rokó — mawiał — kiej już poza bucki ku dobrym hłopcóm skocyl,

tak mie matura ku temu ciągała. Otupno mi tak béło w doma siedzieć, kiek slišał kogo na zbój isć, co raty! Běl przy Stawuk Gąsiénicowyk baca, Jano Byrcarz, co prociMaćka Gąsienice w Zako-paném siadował, ś nimek pirsy raz poseł. Tén ni-jakiej broni ku sobie nigda niebrał, jino sękowiec, ale kie sie ozpajedził — hej! moi luźkowie! wykopyrtneno sie ta kiela siumnyk siuhajók od nieho. Nie béło hetmana nadeń!... Ś nimek pirsy raz po zbóju hodzował. Dawno...

Tego wieczora Johym Gacek markotny był.

— Dzieci me wyгнаły, włócem sie nocami. Gacke me zowujom — mówił. — Miałek śtyry córki i pięci synók, troje pomarło, seścioro zyje, jedna córka i synowie. Wnukók, prawnukók be z pół kopy, lebo i wiencyj. Haj. Z końca me howali, zyciek miał dobre, kak sa przisel, do wtorego, tamek siedział. Cok se zywnie zamysłał, dawali mi. Hej, nie wybyło dwa roki, odmieniło sie. Wygnali me. Ja se to z ik młodości myślał: nie bedzie to z tego nic, bo sie to ani do strzelectwa, ani do złodziejstwa niebrało, ba ku roli, ku koniom, drwa przy domie rubać, siano kosić. Ku nicemu godnemu sie nie brali. Myślałek se: jeden-ze przecie musi na świecie cymsi być, cosi konać. Hej! nie.daj Boze! Sytka pošli na rolom — gazdy. Na dziadka macierzyńskiego sie podali. Siejom, skrudlom, orajom, — ale hłope być, nie ik rzec! Wygnali me. Hańbis nas, padajom, ty stary zbóju,

złodzieju! Eu, kieby ja bël nie krad, niémielibyście wy kazdy po kóniu i po trzi krowy, synkowie! Dośćek kyrpcók zdar na wase dobro, a wysyj dwaścia rokók, wraz rahujący, w hereściek siedział. A co mi kijók wycieni na Luptowie, na Orawie, na Spisie, w Nowym Targu — wysyj tyśiąca! Niémielibyście wy dziś byé na cym gazdami, kieby nie ja! Haj! Ja i od Kroatók i z Bośnije dudki nosieł. Jak padnie, to im samym jesce byéki wywiedem! Niek sa warujom! Miśko, jest ta jesce palenka?

Podał mu Kamiński flaszkę; pił.

Splunął, usta rękawem obtarł: Dobra! Daj jesce!

Pił.

Odstawiał od ust i mruczał: Niek sa warujom, niek sa strzegom, synkowie! Na jutro na rano moze bycek haw byé! Haj!

Pił. Twarz mu się zaczerwieniła, ogromne, wypłiaste oczy koło krzywego nosa napęczniały jakoby blaskiem, wązkie, podłużne, schyłone ku dołowi po kątach wargi zaczęły drgać.

— Hej synkowie, gazdowie! Ciepło wam! Baba pościel grzeje. Haj!...

Poczęło mu się mieszać w głowie.

— Hej, niebyło to, jako Łuscykowie Jaskrawi, Józek i Stasek... Ci to, co tén hałupe zbójeckom pobudowali... Były hłopy!...



„Dobrzy chłopcy byli, ale się mineni,
i my się miniemé po małućkiej kwili...”

Łuscykowi Jaskrowi... Hej! Kieby by jednego
niedaleko Kokawy, co całe niebo spłoneno..
Haj!...

Łuscykowi Jaskrawi... Hej! Kieby by jednego
w Hrubie puścić, ku synkom, ku gazdom... Baba
pościel grzeje — wiera! — byłoby i jasno!...

Nagle zerwał się z legowiska.

— Idem!

— Ka? — spytali towarzysze.

— W Hrubie!

— Po co?

— U dzieci nocować. Bądźcie zdrowi, ludkowie
moi!

Nim się obejrzel, wyszedł. Zachręścił na pa-
tykach koło chałupy, zaszeleścił na trawie —
przepadł w lesie.

Śpią Kamiński i Wala, noc głucha, kiedy Zośka
Mocarna, co obok Zaruckiego, bo on miał żebra,
jak ze stali, leżała, trąca go i mówi: Klimek,
poźrój no! Łuna, lebo co na niebie? Dy przecie jesse
nie świta! Ka to Wóz na niebie wysoko!

Popatrzył się Klimek, powiada: Łuna. Kasi
gore.

I zasnął.

Ale Zośka Mocarna widziała przez szpary w da-

chu, jak luna rosła i objęła niebo przerażającą czerwienią, od której gwiazdy gasły.

— Jaskrawyk Łuscyków Gacek wspominał — myślała — i wywspominał. Kasi blisko gore.

Nazajutrz dobrze dniało i Michał Kamiński narzekał właśnie, że mu Gacek wieczorem wódkę wypił, gdy stanął on we drzwiach zbójeckiej chałupy. Wydawało się, jakgdyby mu się przygarbione już plecy wyprostowały, a w oczach jarzył mu się blask.

— Widzieliście?! — spytał zadyszany, ale podniosłym głosem.

— Witajcie, krzesny ojce. Co my mieli widzieć?

— Nocował przy dzieciak. Widzieliście?

— Jakoz my mogli tustela widzieć?

Ale Zośce wzdrygnęło się serce w piersi na tę myśl, która jej przyleciała do głowy.

— Luna?! — zapytała.

A stary Gacek kiwnął głową z tryumfem i odrzekł: Luna!...

A potem dodał: dwa gazdowie, synkowie, pośli!

Zrobiło się cicho w chałupie zbójeckiej, nawet Michał Kamiński rozwarł szeroko powieki, choć on się mało czemu dziwować lubił.

— Podpaliliście?!

— Haj. Zasełek ku Jędrzkowi, burzem na oknie. Wto? — Ja, ociec. Idźcie w djabły! Idem ku Jaśkowi, bo to zaraz, jedno przy drugim. Wto? — Ja, ociec. — Kiz was djasi! Idźcie ku Jędrzko-

wi! — Juzek bół. — No to idźcie w djabły! — Juzek dali nie seł. Gorzałka mi tyz kręciła w głowie. Eu, myślę, nie pudem ja juz za wode ani ku Staskowi, ani ku Kubie, ani ku Johymkowi, ani ku Marynie, ba haw przy was ostanem. Pockajciez — gazdy. A tu mi Łuscykowie Jaskrawi, nieboscyk Józek, co go za pośrednie ziobro w Mikulasie powiesili, i nieboscyk Stasek po głowie tańcujom. Hej! Przewiedliście mie wy bez rozumu, synkowie, wy dwa starsiejsi, kiek was cęściował! Weznem pilno hubke, krzesiwo — podpalilek. Zagorzało w ocymieniu!

Odwrócił się od drzwi ku dolinom i wyciągnął rękę.

— Gazdy! Dziady! Wygnaliście mnie, hańbis nas, padajom, ty stary złodzieju, ty zbóju! Synkowie! Pomsta na was, co ja sie poniewirać musem! Teraz bedziecie głode mrzyć — gazdy dziadowskie! Pogorzelecy!

I trzął suchą, wyschniętą ręką w stronę wsi, a oczy mu świeciły straszno i wązkie podłużne wargi drżały.

Tymczasem zaś Kamiński sznurował kyrpee i mrucał: Sytko dobrze, krzesny ojce, jino cobyście béli syćkiej gorzałki weora nie wypili. Nie ostalo nic..

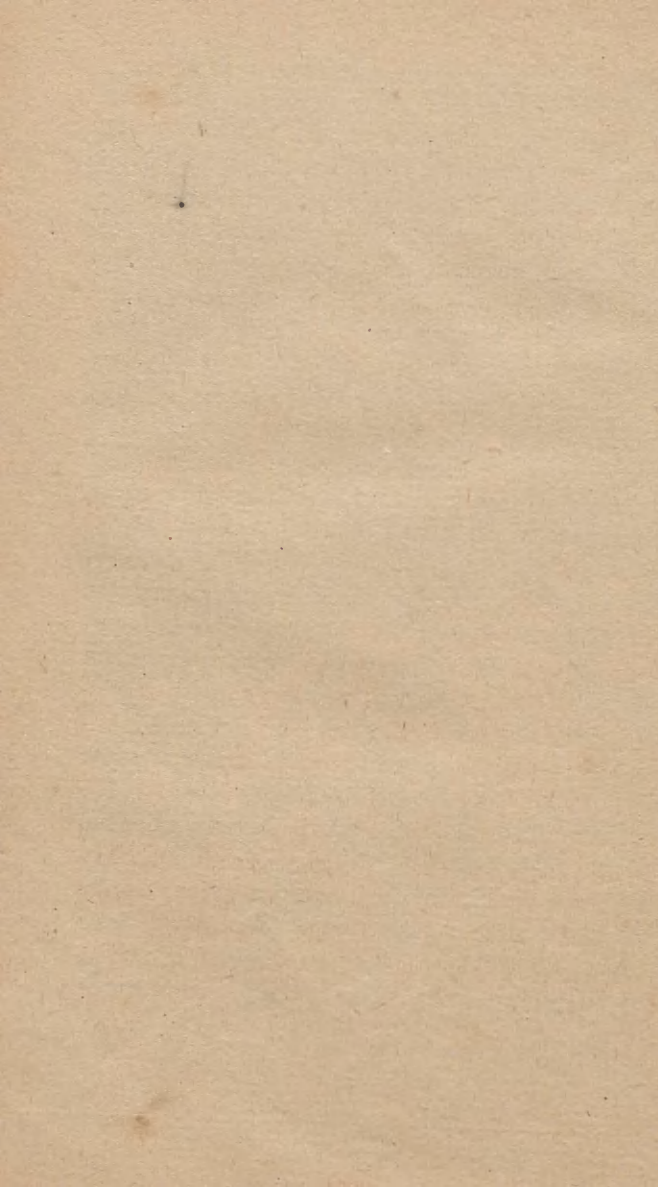
* * *

Już się potem chałupie wzięło ku końcu.

Poczęto lasy popod Koszystą ciąć, pastwiska wyrabiać, szopy budować w pobliżu.

Opustoszała chałupa zbójecka, nienaprawiał jej nikt. Jednej jesieni wiatr halny zerwał dach i potrzaskał, ściany potem zaczęły butwieć i gnić. Narosło wkoło rozmaitego zielska i przez szpary w ścianach poczęły się wsuwać zielone, ponure liście łopuchu, a potem trawa i błękitne szafirowe goryczki poczęły wewnątrz rósć. Mchy i wilgotne porosty opęzły pnie w ścianach i osiwiły je bladą zielenią. Zasiał się koło nich rdzawy smutny szczaw i ciemne senne pokrzywy. Nizkie ściany jęły ginąć w lecie w gęstwinie roślinnej, a w zimie pod nasypem śniegów z każdym rokiem więcej i więcej. Inny wicher halny zburzył dwie ściany, południową i zachodnią; dwie drugie w parę lat później zwały się pod ciężarem śniegu. Łopuchy, trawa, szczaw, pokrzywy, błękitne i szafirowe goryczki i białe konwalje górskie zarosły z wiosną rozwalone pnie. Ziemia jęła wchłaniać butwiejące i gnijące drzewo i po kilkunastu latach nie pozostało ze zbójeckiej chałupy śladu.

Przetrwała o niej tylko pamięć wraz z imionami Łuscyków Jaskrawych, Hornego albo Gońca Kośli z Pardółówki, Zośki Mocarnej z Polan, Samka Widowaca strzelca, żalosego rodzeństwa Jasia i Teresi Słodyczków i Starego Gacka Topora Jasicy z Hrubego, który się na złych synach pomścił.



JAK JASIEK MOSIĘŻNY NIE
MÓGŁ ZNALEŹĆ SZCZĘSCIA

I

O MARYSI DALEKIEJ

II

O WOJTOWEJ MARYNIE

I

O MARYSI „DALEKIEJ“

Jasiek Mosiężny grał na skrzypcach ślicznie, a i śpiewanki umiał składać, że szeroko daleko o drugiego takiego. Z tego grania i śpiewania zasłynęło jego imię precz, bo go równie dobrze w Maruszynie i Krauszowie, jak w Dzianiszu i w Kościeliskach znali, a że to kobiety lgną do takich ludzi, co o nich sława po świecie chodzi, jako to powiadają: ka się świci babę chyci — więc też i do niego lgnęły dziewczki, a i z bab pojedna dobrze oczu za nim nie wypatrzyła. On ta też nie był od tego, jak to chłop, ale sobie po większej części z nich mało co robił. A i wydawać się za niego chciały bardzo bogate dziewczki, ale on o to nie dbał, choć sam nie miał nic, tylko to, co wygrał temi skrzypcami na weselu, albo w karczmie, albo co zarobił przy ciesielce, przy traczku, przy stolarstwie, bo do wszystkiego zdatny był.

Ale to już taka natura w tych muzykantach. Co mu się nie podoba: daruj mu, nie weźmie; co mu się upodoba: duszę za to by dał — choćby dyabłu. Niema co z takimi narabiać, bo to takie, jak głupie.

I mało ten Jasiak Mosiężny zagrzezał miejsca we swojej wsi, z kąd rodem był. Cięgiem on się włóczył, zwłaszcza latem, kiedy powyganiałi na hale. Uświadczyłbyś go i w Pańszczycy, gdzie Poronia nie pasali, i w Gąsienicowych Stawach przy Zakopianach, i zaś znowu przy Miętusianach na Miętusiej i w Chochołowskiej Dolinie i w Zuberskiej przy Orawcach. Znali go wszędzie, przyszedł, grał, śpiewać rozmaicie nówo nauczył. A gdzie przyszedł, tam go wnet dziewczki, ba i baby, nie to po licu, ale i po rękach całowały i klękiwały przed nim, jak przed obrazem. Takie szczęście miał. A on się najwięcej z tego śmiewał po trochu, a choć ta dość i latał czasem za tą sprawą, nikt nie wiedział, co mu w sercu gra...

Ale kiedy sam był, tak, ażeby go nikt nie usłyszał, gdzie wysoko we wiérchach, albo gdzie głęboko w lesie, to sobie wyciągnął gęśle z pod pachy, przygrał sobie, a zaśpiewał na taką swoją nutę, odmienną, jako po wsiach góralskich na Skalnem Podhału śpiewują, — a to szło jakoś tak:

Idem, idem między wierhy —
graj mi skrzypko, graj! —
a patrzem se dookoła,
jak syroki kraj.

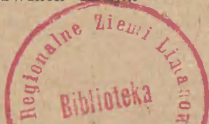
Patrzem, patrzem dookoła —
brzęc mi skrzypko, brzęc! —
a wzion byk to serce moje —
do obidwók ręc.

Wzionbyk, wzionbyk serce moje —
zwoń mi, skrzypko ma! —
a eisnon byk komu do nóg,
kieby było ka...

A cison byk tej dziewczynie —
nieś się, skrzypko, nieś! —
co sie gdziesi kryje, howa,
hej, obdalno gdzieś!

Ej cison byk, choćby pukło —
płyn ze, skrzypko, w mgle! —
ale ino tej jedynej,
co sie zwidzi mnie...

Niémas ci jej, niémas ci jej —
graj ze, skrzypko graj! —
ino ocy moje lecom
het na świata kraj...



Jakoś to tak szło, ta śpiewanka Jaškowa.

I zapoznał się ten Jasiek z Marysią Chochołowską z Kościelisk, co pod Ornakiem pasowała.

A ta Marysia Chochołowska bardzo dziwna była i nikt takiej drugiej dziewczki nie widział. Nieraz siądzie na kamieniu, albo na pniaku, zapatrzy się, to i pół dnia przesiedzi; w domu w izbie, albo gdzie popod ścianą samo to. Niebieskie miała oczy, mgliste; niby patrzy niemi we świat, ale dobrze widno, że nie na nim nie widzi. Odezwiesz się do niej, zaraz to głowę dźwignie, uśmiechnie się, a tak słodko mówi, tak mile, jakby miód w serce kapał. Do tańca pójdzie, na wesele przyjdzie, będzie się z parobkami i przyśmiewać, ale to znać, że jej to nie w głowie, że gdzieś indziej jej myśli. A najlepiej lubi się gdzie samotnie za krowami, albo się w komorze zamknąć w domu. To się wtedy położy na trawę, albo na łóżko, oczy przymknie i leży. Nazywali ją Marysia „daleka“, że to daleko gdzieś od światu odchodziła.

A byli i tacy, co ją brać chcieli, bo ładna dziewczka była, wyrosnięta, jak kwiat, gospodarna, skromna i majętna. Ale ona dziękowała, a nie chciała.

— Poproś mie ty na swoje wesele z inom, a je cie zaś bedem pytać na mój pogrzyb — mówi i uśmiecha się tak smutno, jakżeby wiedło ziele, a tak jasno, jak woda w potoku.

Było jej już dwadzieścia trzy lata i tak trwała.

Ej, kiedy ją ten Jasiek Mosiężny muzyka pod Ornakiem poznał, nie poszedł on już więcej tego lata ani ku Poroniankom do Pańszczycy, ani do Zuberskiej Doliny ku orawskim pannom. Został w Kościeliskach i tam siedział, a najraczej sobie przyśpiewywał:

Pociesenia niémam, w polu go nie siejem,
Pocies ze mnie, Maryś, zkaąd sie nie spodziejem...

I poziera na tę Marysię Chochołowską, ale co ona na niego spojrzy, to mu skrzypce w rękę zedrzą i ustaje grać, jakby mu palce zmarzły.

Dopiero pasterka jedna z drugą: Hej! Zakochał sie nas Jasicek w Dalekiej Marysi! Pozal sie go tés Boze!

A zazdrość je brała, bo dziewczka to to jest takie, szelma, że choćby czasem i sama niechciała, to będzie o drugą zazdrościć. Są niektóre inne; ale mało.

A ta Marysia temu Mosiężnemu niby nierada niebyła, owszem, tak się mogło czasem zwidować, że go i dosyć rada ma, ale ile tego lubienia było: tego wyrozumieć niemógł. Gadała z nim, grał, to słuchała, czasem go i zagrać poprosiła sama, a czasem cichuteńko szepnęła: Zagraj ze mi o tym Janieku, co wołki pasał...

I zaraz jej bladość na twarz wychodziła.

Więc on grał na nutę — znacie ją:

Kie ja sobie wolki pasał przy zielonym gaicku,
Przisko ku mnie swarne dziewczce: co tu robis Janičku?
Co ja robiem, co ja robiem, to tu o mnie nik niewi,
Ino jedno swarne dziewczce, co nikomu nie powi.
A jak powi, to niek powi, to powi sama na sie,
Bo mi sama powiadała: hybaj, Jano, na rose...

Grał, mógł grać godzinę, dwie nie odmieniając,
a ona słuchała, tylko coraz bledsza była.

A potem mu powiedziała: „Dziękujem“ ci —
i poszła. I gdzieś się wtedy tak kryła, że nikt jej
potem wypatrzeć nie mógł.

— Ej Jasiu! nie wygras ty se Marysi! — mó-
wiły mu dziewczki.

— To wolem jej grać hoć tak, jako was ści-
skać — on odpowiadał.

— Ej Jasiu! Skoda cie!

— A hoćbyk umarł la niej, nie skoda.

— Nie twoje przeznacenie ś niom.

— Ale jest Przemienienie Pańskie cudowne na
niebie.

A potem kiedy poszedł, kiedy sie cisnął gdzie
pod smreka, twarzą ku ziemi.. Przecie aż żal było
chłopa!...

Stary juhas, Stasiów Szymek Tyrała, chłop mą-
dry, bo i kapralem u cesarki Tereski przy drago-
nach był, raz tak powiada, kiedy tak na tego
Jaśka Muzykę pod smrekiem leżącego patrzy: Té

muzyki to jakiesi całke ine ludzie. Som jest dziwtóre mądre, ale mało, a jak sie juz utrefi głupi, to cały djabo!

Bél u nas w reimencie w trzeciej škadronie trompeter, fajny hłop. Cek, jakosi sie tak cudnie nazywał, Niedopil, czy jako? A na imie mu było Karol. I co nie zonacél, kie zalubiél jednom dziewke słuźke, we Widniu: beł do Dunaja z mostu!

— Tu mas! — krzyczy Antosia Mardułowa, co jej dopiero na siedmnasty rok szło. — I utopił sie?!

— Wyciongli go mało zywego. Pyta sie go wachmistrz, bez co telo zgłupiał, a on pada: je ze mnie nie fciała dziewka, cok jom zalubiél.

— I co sie zrobiło pote, krzesny ojce?

— Ino go puścili ze śpytala, beł drugi raz! Ale juz lepi wymiérzał, bo go już więcył nie znašli.

— Hej! Panjezusieku!

— A grać to tak umiał, ze sam feldmarsiałek Laudon ras mu dwa talary śrybłem na manibrak dał. Nawet beł na tego Jaśka Mosiężnego trohe podany w ocak.

— Ej! fciałaby ja tés, coby mie wto tak miélował! — mówi Antosia.

— A cozbyś mu za to dała? — śmieje się stary Szymek.

— E co wam juz nie pote, krzesny ojce! — parska Antosia niestropiona, a wszyscy do śmiechu.

I szedł dzień za dniem, tydzień za tygodniem, nie odmieniało się nic. Marysia Daleka słucha Jaskowej muzyki, ale nic on jej nie bliższy.

— Spytaj ze sie jej — mówią dziewczki — cy cie rada widzi, abo nie?

— Kie nieśmiem.

— Oześmiel sie! Cyś nie hłop?!

— A jak mi powie: nie?

— Pudzies ku inéj.

— Wiera! Wolałbyk sie tu zapaść!

— Nie bluźnij!

— Ej! ani mi niebo nie cudne, ani mi piekło nie strasne!

— Takeś sie to wej zakohał?

Ale on już nic nie rzekł.

Aż przyszedł raz dzień słoneczny, tak rzeźwy i tak bystrej pogody, jakiego jeszcze tego lata niebyło. Wstał Jasiak Mosiężny rano, podniósł głowę do góry, popatrzał na niebo, po turniach, i mówi do siebie: Prawda! Cyk nie hłop?! Niekze sie to juz raz abo tak, abo tak odwazy!

I idzie prosto ku Marysi, spotyka ją: stoi nad potokiem schylona, spodnica między kolana wciśnięta, nogi od łydek na dół gołe — pierze.

— Maryś! — mówi.

Marysia się wyprostowała.

— Co?

— Maryś! Niémogem juz dłuzej wytrwać. Mięłujem cie.

A ona się zaczerwieniła i zaraz poblądła bardzo.
— Mięłujem cie — mówi Jasiek. — Za zone byk cie brał...

A ona trzęsie głową smutno, że: nie.

— Nié? — mówi on, a znać, że mu pociemniało w oczach.

— Nié.

— Nigda?

— Nigda.

— Ostatnie słowo?

— Ostatnie.

Ledwie mu głos wyszedł: Cemu? Ja cie tak kocham, jak Boskom Moc...

— Ja juz tak ostanem. Wiekuiście. Nie wydam sie za nikogo... nigda...

Odwróciła się, schyliła i poczyna dalej prac.

Chciał do niej jeszcze mówić Jasiek Mosięzny, ale mu nie odpowiadała. Łzy mu się do oczu cisną, cisną, choć nie był chłop płaczliwy: zdzierzył je, nie puścił z oczu na lico, ale mu się zdawało, że mu wszystkie w serce skapały, jak widział cynę rozpaloną kapiącą we walewerku w Kuźniach.

Odszedł.

Ale już potem Marysia Daleka była całkiem dla niego inna. Unika go, czasem co przykrego powie, ani go o granie nie prosi, ani kiedy gra, posłucha. Tak, jakby jej co złego zrobił: wieje od niej lód.

Więc gryzło to nieszczęsnego Jaśka, bo cóż on

zrobił? Że powiedział, że ją kocha? Czy ją niewolił? Czy jej się napierał ze sobą? Na jedno słowo odstał tak, jak kiedy piorun konar od jodły odstrzeli. Niechciała go — zabrał się.

Myśli i myśli — co za przyczyna może być? Bo że się on jej nie zwidział: dobrze, może to być. Ale żeby za nikogo wydawać się nie chciała nigdy, taka dziewczka ładna, zdrowa, młoda — niepojęcie...

Coś, coś tu musi być...

Czy nie lży ciężkie jakie...

Dy nie darmo śpiewają:

Umrem, matko, umrem, hoć mie nic nie boli,

Kie mi to nie dane, co ku mojej woli...

A źle mu było tak, że sobie rady dać niemógł. — Hej! — mówił. — Juzbyk był wołał pary z gęby nie puścić... Cok jej zrobił? Cok jej zrobił? Dyciek jom nie obraził, dyciek jej nie ublizył... Moje kohanie...

I tylko szedł gdzie w las i grał. A grał tak, że aż Antosię Mardułową przy krowach raz tyle to granie wzruszyło, że na cały głos płakać zaczęła.

— Cegoz ty płaces, dziewce? — pyta się jej stary Szymek Tyrąła.

— Bo... Ja... Jasiek tak gro... krzesny ojce...

— No to niegze ta!

— Kie mi tak lu.. luto... co ra... raty...

— A cegoz ci wej luto?

— A bo jo w... wiem... krzesny... ojce...

— Cy cię potę ku niemu nie podciągo, smar-
kulo? — śmieje się Tyrała.

A Antosia zaraz łyzy połknie i zaperzy się: A ka-
by mie podciągać miało? Ku wom? Widzieliście
kogo suhy karpieł gryżć? Co?

Póki jeszcze pogoda była, tłukł się Jasiek ze
skrzypcami po lesie i wytrzymawał, jako mógl.
Ale kiedy przyszła lejba, przyszły chmurne, po-
sępne dni kujesienne, przykurzył po wierchach
śnieg, zapadła mgła, ciemność po dolinach: ledwie
mu dusza od żalu nie uciekła. Bo ani go kochać
niechciała, ani wiedział, czem jej dokuczył, czem
ją zraził, co jej złego zrobił? Już niewiedział, co
gorsze: to pierwsze, czy to drugie? Za jedno by
był życie dał, drugie życiem odkupił... Tak...

Raz popołudniu, Marysia jakaś niezdrowa była,
krów niewygnała, widział ją, że do szałasu, gdzie
jeść gotują, weszła. Wszedł za nią.

Watra była malutka, ledwie tlejąca; ciemnawo.
Nie mówi nic, siadł pod ścianą na ławie, ona na
stołku siedzi, nie patrzy nań.

Czas uszedł jakiś, oni milczą; zdjął Jasiek
skrzypce z kołka w ścianie, brzęknął palcem po
strunach. Brzęknął znowu raz, drugi. Nakoniec
zadzwoił po strunach palcami:

Kiej ja sobie wolki pasał przy zielonym gaićku

Przisko ku mnie śwarne dziewce: co tu robis Janićku...

A Marysia w płacz. Zatlumiła go zrazu, ale potem buchnął z niej, jak ogień.

Porwie się Jasiak z miejsca: Maryś! Co się stało? Cegoz płaces?

A ona łka.

— Cegoz płaces?!... Twoje łzy mi jak kamienie... Powiedz! O co zał mas do mnie? Ja już se rady niewiem dać! Cojek ci zawinił? Cymek cie ukrzywdził? Maryś!

— Hej, nie zawiniłeś mi ty nic, nie ukrzywdziłeś, mie ty w nicym... Ino poccozes to wej zabręcał na strunak?...

— E dyjek to przecie nie raz, nie dwa grawał, a nie płakałaś! — mówi Jasiak.

— Ale nie trza było — — teraz... — mówi Marysia.

Zamyślił się Jasiak — myślał chwilę — cisnął skrzypce na ziemię, nogą kopnął. Bierze rękę Marysi, całuje.

— Przebac! — mówi.

— Z nicego. Cozes ty winowaty? Nic — ona odpowiada.

— Bez co zes sie na mnie gniéwała?

— Nie gniéwała ja sie, nie... Nie wyrozumiés ty temu nigda, nigda...

— Nie gniéwałaś sie?! — krzyczy Jasiak, podnosząc na nią oczy.

— Nié... Ino mie serce ozbolało...

Znowu się łyzy poczęły pchać do oczu Jaśkowi Mosiężnemu, ale je zdzierzył.

— Z cego cie ozbolało? — pyta się.

— Hej kiebyś wiedział... Bolało mie, bolało, ale ciho, a teraz mie ozbolało głośno...

— Za mojom przycinom?

Ale Marysi znowu łyzy buchnęły z oczu, snadź niepamiętna już na nic, zawodzi szlochając: Ej kohałak go, kohała!... Ej kohałak go; kohała!... I słania się, jakby zemdleć miała. Ledwie się o ścianę oparła, a Jasiek ją podtrzymał.

— On se to tak śpiewał, przy koniak... Ja sie go to pytała: co robi, a Cajówna Zosia wiedziała o nim... Ej kohałak go téz, kohała...

Mówić jej nie dało, ucichła, a Jasiek Mosiężny po rękach ją, po kolanach całuje. Nieruchomo się stało w szalasiu, tylko niebieski płomycek tańczy po palenisku.

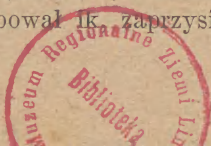
— Nie kciał mie — mówi Marysia po czasie. — Wzion tén Cajównu, Zosie, ozénił sie. Nie mówiłak mu nigda nic, ale on wiedział, ze ginem. Hej, kie ik do ślubu wiedli — — w kościele w Hohołowie — — ej, kie ik wiedli...

— Maryś!

— Nic. Zmogem sie. Wiedli ik... Ja tak stała — na boku... Kie im ksiondz ręce wiązał...

— Maryś!

— Nic. Związał im ręce ksiondz, piestronki zamienili, ześlubował ik, zaprzysiąg — juz on był



jéj... Wyseł z kościoła, pod piórem, stążki na nim cyrwone przy cuze, ona we wieńcu... Hej Jašku! Bedzies sto lat żył, nie dozyjes...

— Maryś!

— I takek ostała. Ostałak tam pod kościele, koło muru. Niewidział mie nik... Pojehali... a zagrali mu na jego nute, na samo tén... Przestałak hań do rania... Prosiłak Boga, coby przywołał ku mnie śmierć — ale nie przisła... I zaślubowałak se, zaprzysięgła: jak was ksiondz związał stułom i sprzong na wiečność, tak ja Ci ślubujem i przysięgam, Boze, kieś mi tego scęścia dać nie racył, ze mie nigda nie powiedom do ołtarza we wieńcu, nigda, nigda, — jino mie do trumny tak włożom, jakak jest...

— Maryś!

— A on pojehał ś niom, ka sie przizénił, do Długopola. Widziałak go jesse pote kielu razy, a najwięcył w Ludźmirzu, na odpustak, bo oni ta wse jezdzujom, bo to od nik blisko i parafija. Umyśnie hodzem... Juz sewarty rok... I bedem hodzić...

— Nie boleśnie ci to?

— Boleśnie... Ale by go przynamniéj widzem... Dzieci majom... dwoje... Takie majom bure ocy, jak i on... Widziałak... Hoć to jej dzieci, całowałyk je po tyk ocak...

— Ej Jašku!...

— Ej Maryś!...

— I tak już ostanem, na wiečność, z tym bólem...

— A cos teraz s nami bedzie? — mówi Jasiiek.

— Idź ode mnie, opuść mnie — mówi Marysia. — Nańdzies inom. Nikomu przy mnie sceśćie nie rośnie. Taki juz mój przeklęty los.

— Hej! Ten to lód od tobie wiał!... A lubis mie? Hoć trohe?

I ujmuje jej ręce, a ona je ścisza palcami i ku piersi przysuwa i mówi: Lubiem. Bars lubiem.

I wyrwała się i uciekła z szałasu.

A Jasiiek został tam i nie ruszył się, aż pasterze przyszli i tak go znaleźli, jak umarłego.

— Co ci sie stało, Jasiiek? — pytają się.

— Niekciał mie Pan Jezus wzionć, niegze mie weznom djabli! — on mówi i wyszedł.

Szuka Marysi, znalazł ją, w szopie, krowy dojąca. Świeci się kaganek przy niej.

— Maryś! — powiada Jasiiek. — Ja cie tak nie opuscem, nie kcem opuśćić! Ja nie jest taki hłop, cobyk sie spierał, cobyk cie przemóc fciał, gwałte kciał brać. Kiebyś była biédna, kieby ja był bogaty... Ale tak — jak mie nie kohas, cos ci po mie?... Co ci ta té moje skrzypce i ten hyr o nik po świecie!... Prasnon byk ci je do nóg i to moje serce okrwawione i tén mojom miłość serdecnom! Ale ja cie tak nie opuscem, nie pozegnam. Tyś mi tak, jak świenta, jak kiebyś z pomiendzy janiołów zestompila ku mnie na ziemie. Ja jest sam

na świecie, jak ten suharz jaworowy pod Jarzombcom w polanie. Nimam nikogo nikany, gram ludziom, a mojemu sercu jino wiater gra. Bydź mi za siostre!

I pochylił się ku jej kolanom, objął je, a ona postawiła skopiec z mlekiem na ziemi i kładzie mu rękę na głowie i mówi: Ja juz nikomu niemożem nicém być — mnie się jino jedna śmierć znacy. Ozeńdźmy sie. Idź ka inéndeje. Ostaw mie s tym bólem w sercu...

— Ej Maryś, Maryś! — on mówi. — Bóg świci, kiebyk tén rane twojom móg na siebie wziąć, coby jino tobie béło lepi, béło dobrze...

— Idź! Mnie sie juz nie patrzy we świecie nic — jino trumna...

I podała mu rękę i pchnęła go lekko ku drzwiom. Zakręciło się Jaśkowi Mosiężnemu w głowie, załamało się w piersiach.

Idzie, idzie w las, ku Tomanowej, sam niewiedzący, dokąd. Nareszcie siadł pod smrekiem, nad lasem już ciemno było całkiem, a kurzył śnieg z deszczem i mgła góry przykryła. Wyjął skrzypce z pod czuchy, patrzy na nie i powiada: Hej skrzypce! Coście wy mi wej dały w zyciu? Coście wy mi wygrały? Co nie fcem, to sie mi w garzcie pha, za co byk duse dał, to nie moje... Coz mi s was, kie mi scęścia wygrać nie umiécie, coz mi ten hyr po dziedzinak... Hej skrzypce!...

I pociągnął smyczkiem po strunach, choć kur-
niawa szła z wierchów, i tak przyśpiewał:

Idem, idem między ludzi —
graj mi, skrzypko, graj! —
serce moje obumiera,
a ty zycie trwaj!

Serce moje obumiéra —
brzmij mi, skrzypko, brzmij —
nie nasiał mi Pan Bóg szczęścia,
nie wyrośnie mi!

Nie nasiał mi Pan Bóg szczęścia —
słyń ze skrzypko, słyń —
a ty Maryś, moja Maryś,
gińże z bólu, giń!

Giń ze z bólu, giń z cierpienia —
graj ze, skrzypko, graj! —
zakopiom cie s twoim bólem
pod zielony gaj...

I zrozumiał Jasiak Mosiężny Muzyka Mary-
sine zaślubienie, a tak mu się zdawało, że oczy
jego lecą w jakąś przepaść straszną, w otchłań
niezgłębioną. Hej! Ten to lód od tobie wiał! —
powtarza, a wydaje mu się, że mu przy tej myśli
ziemia całkiem z pod nóg, niknie od żalu nad Ma-

rysią i nad swoim kochaniem. Mogłoby nam tyz
być dobrze! — myśli. I zdawało mu się, że słyszy,
jak Marysia Daleka, leżąc twarzą ku pościeli na
szopie, szepce: O serce, serce! O serce, serce!...

II

O WÓJTOWEJ MARYNIE

Ta wójtowa Maryna hodzi sama do młyna,
A ze młyna do domu, nie da monki nikomu!

śpiewywali o Marynie Kruźlowej z Rogoźnika,
a potem przyrosło jeszcze drugie tak:

Ta wójtowa Maryna hodzi rada do młyna,
A wójcicek Macicek pokazał jej hodnicek...

ale to później, po weselu, bo on jej istotnie pokazał, jak trzeba chodzić po świecie.

Była to dziewczka, jakiej nieprędko drugiej w okolicy. Czy w Ludzimiérzu na odpusćcie, czy w mieście, albo w czarnym Dunajcu na jarmarku, nie było chłopca, coby się za nią nie obejrzał, nie było baby, coby się jej nie przypatrzyła świdrem. Wysoka, prosta, głowa do góry, brwi, jak żeby ucernione, wysoko nad oczami, gęste, grube i połyskujące, czoło gładkie, oczy szafirowe ogromne, nos

prosty, usta czerwone, małe, broda okrągła, włosy czarne, świecące, jak żeby kto je wypolerował, a tak wielkie, żeby się okryć niemi mogła, jak zapaską. Dopieroż te kolory na twarzy przypalonego rumieńca na smagławej skórze, dopieroż ta szyja wysmukła, bujna, te piersi, co tak jakoś zuchwale pod gorsetem tkwiły, aż drzenie brało patrzeć, to wcięcie w pasie prześliczne, te biodra obsadzone, gibkie, pełne, a całe ciało jakby z miękkiego żelaza urobione. A głos!... Kiedy zaśpiewała, zdawało się, że świat stopnieje... I kiedy szła, to choćby ciżba była największa, nie potrzebowała mówić: pąkcie się! — każdy się jej ustąpił, tylko spojrział.

Ale ono się ta jej i tak znaczyło...

Bogata to była dziewczka, pyszna, zuchwała i nieużyta. Ojciec, wójt, stary Bartek Krużel, co się do niego nazywało do Białego Marcina, jeszcze z dziadka, wdowiec: ją jedyną miał i nie za nią niewidział. Było gruntu z pięćdziesiąt morgów, lasu z pięć, gazdowstwo strasznie grube i młyn. A to Marynisko, żeby kto krapki mąki nie ukradł, ciągle pilnowało młynarczyka i ciągiem do młyna chodziwało, aż jej zaczęli śpiewać o tej robocie, ale do oczu nikt nieśmiał. Bo takie oczy miała, jak żary rozpalone, tak, jakobyś we wodzie ogień roziskrzył. Kiedy spojrziała na człowieka — chyba, że mu siedmdziesiąt lat było, żeby go nie przejęło do szpiku. Jeden parobek z Ostrowska, co z winem

jechał, kiedy ją zobaczył, oparł się o wóz plecami i stąpić przez chwilę nie mógł, a mowę to mu całkiem odjęło, tylko usta otworzył. Ona się uśmiechnęła i przeszła mimo, a on potem powiada: Djablica sie za babe przeoblekła, cy jako?! Ale kieby takie w piekle były, fciałby ja hań gorzeć po same usy!...

Nieradzi ją ludzie widzieli za nieużyteczliwość i za pychę. Było jej już dwadzieścia lat, ale się wydawać nie chciała, ani nikt nie słyszał, żeby jakiego kochanka miała. Nikt się nią nie pochwałił.

— Nie bees sie to wydawać, Maryna? — pytała się jej ciotka.

— A jest haw wtory godny ku mnie? — odpowiedziała.

— A wiés, jako to śpiéwujom:

Cemuz ty, dziewcyno, niekces na mnie patrzeć?

Jak ja cie nie weznem, nie weźnie cie ślakcie!

— A niesłiseliście ciotko, co opowiadał stary Budz, jako to królewic przyjechał ku kołodziejównie?

— Bajki! Coby cie nie to królewic, ale jaki sprosty góral nie przespał!

— Niedocekanie wase!

Ale jej się oczy zjarzyły i zęby ścisnęły, boć przecie w takiej dziewce grała krew! Ino ją ta pycha, ta podufałość trzymała, jak na łańcuchu. To to wolala ścierpieć i odrzec się, za czem dziew-

kom dusza do gardła lezie, aż im dech zapiera, niż tej natury swojej popuścić. Takie to było.

I dopieroż musiało się stać, że się ten Jasiek Mosiężny Muzyka z nią spotkał...

A to tak. Nie mógł on się odzalić Chochołowskiej Marysi, w której się kochał, choć już lat parę zbiegło, może ze trzy. Nie szedł więcej w Kościeliska, nawet się mało co po Zimnem, albo Skalnem, jak to je nazywają, Podhału, włóczył, ba się więcej doliną wsi trzymał. I już nawet mniej grywał, tylko się więcej robotą trudnił, ciesielką i przy traczu, ale kiedy grał, to jeszcze sto razy piękniej, niż przedtem. Dość powiedzieć, kiedy go Cygani węgierscy do bandy chcieli, co nawet w samym Budzynie i w Peszcie grywali. Nie chciał.

Dowiedział on się, że u Gąsiorka w Rogoźniku robota przy drzewie jest: zgodził się.

Tu dziewczki, baby rade, bo już o nim słychały, (jak to o tym Janicku, co taki słynny z urody był, a tak smutno dla nieczulej dziewczyny skończył), że to muzyka, jakiego niema drugiego we świecie. Ale tak powiadali, że on przez te trzy lata nijakiej sprawy z żadną kobietą nie miał. To i tam, w Rogoźniku, tak na te Rogoźniczanki patrzył, jak na gawrony na smreku. Tyle go obchodziły.

Niedługo to jednak trwało. Powiada mu Kuba Gąsiorek, ten, co tracz miał:

— Wiés, Jasiék, kiebyś taki dobry bël, a zaniós jarcu do Bialego Marcina zemléc.

— Dobrze. Zaniesem.

A stary Gąsiorek się przyśmiechuje i pyta: Wi-działeś młynarecke?

— Ze wtorom?

— Wójtowom córke?

— Nié.

— No to sie waruj, bo cie zji.

— Ej kie mie ta do siela nic nie zjadło, to mie ta jus i nie zji.

— Waruj sie! mówiem ci. Scepan Symcyków z Ludzimirza do Péstu bez niom wywędrował, Kuba Gąsiorek, haw naski, Rogoźnican, pije tak, co ani rady, Jahymiak Waclaw, ten Kasin, tak, jak ogłupiał. Ja sam, hociek stary, kie jom widzem, to jaze mi gra w usak! Bucna dziewczka, jak las!

— Nie bojem sie.

— Cy mas co od uroku?

— Mam.

Tu stary Gąsiorek ogromnie się rozciekawil. Nachylił siwą głowę z długimi kędziorami i popzaplatanemi warkoczykami od skroni, ku Jaškowi, i pyta się: Ze co? Ze co? Coz mas? Nie przezradzem cie. Powiédz mi!

— E co ta mam, to ta mam — nie wam potem.

— Nosujeś przy sobie?

— Wse nosujem.



— Ka? W opasku?

— A moze to i być, kieby ino dość syroki był.

— Jako to? Nie rozumiem?

— Hej ojce, wiecie — — kieby taki syroki był, coby serce przykrył. Kaz ten jarzec?

Popatrzył na niego stary Gąsiorek; pyta się:

— To sie na serce przykłada?

— No.

Jakze to? Przelepia sie? Cy je jaki plaster?

— Nie przylepia sie, ba trza połknonć, coby do serca wlazło — mówi Jasiek.

Stary Gąsiorek przykrzywił głowę: jakosi cudnie mówis — powiada. — A ukazesz mi to? Cy byk i ja nie połknon?

— Ej, musielibyscie jaze w Kościeliska jehać, coby uwidzieć, jakie to.

— Tam je stela?

— No.

— A wtos ci to dał?

— Cos sie ta telo ozpytujecie! Kaz to zboze?

Stary Gąsiorek pomilczał trochę, potem się rozśmiał i rzekł: Rychtyk — co sie ozpytujem, kie ja mam haw na głowie nalepse odcynienie na seliniejakie uroki.

I pogłaskał się po siwych włosach.

— Podź, Jasiek, wsujemy jarcu do worka.

A w Jaśka Muzykę w chwilę potem jak żeby piorun trzasł.

Idzie, niesie worek na plecach, przychodzi ku

młynowi, a tu przed młynem stoi Maryna wójtowa.

— Do młyna? — pyta się.

Popatrzył Jasiek na nią, nogi mu się ugięły, zbieła na twarzy, choć godny worek na plecach dźwigał. Tak w niego uderzyły Maryniny oczy, jak błyskawice.

Ona się tylko uśmiechnęła, że ledwo przemknęło po wązkich wargach, i patrzy na niego z góry, śmiało, a on tak przed nią nachylony z tym workiem.

— Podź — mówi — odbieremy.

Oddał Jasiek worek młynarczykowi mleć.

— Tyś niepili, nietutejsy? — mówi Maryna — Tyś ten Muzyka Jasiek od Gąsiorka?

—No.

Nie dwoi mu nic, tylko tak do niego mówi: ty, jak do pasterza.

— Przyjdź jutro rano po monke.

— Przyde.

Chciał jej powiedzieć: ostanicie z Pane Boge — ale ona się nie spojrzała już więcej na niego i poszła od młyna przez łąkę ku domowi.

Zabrał się i Jasiek wracać.

A tu jak zadzwoni Marynin głos!... Jak się rozlegnie po powietrzu:

Lelijo, lelijo, skądś się tu wziena?

W dolinak urosła, w górak się ozwiła...

Daj me matko, daj me, kie ludzie pytajom:
Kie lelija kwitnie, wtedy jom targajom...

Daj me matko, daj me, kim mi krasa minie — —
Wte lelija wonie, kiedy sie ozwinie...

Daj me matko, daj me, bo ja jak w polu kwiat
Wiater mnie oderwie, poniesie mnie we świat...

Ani, matusicko, nie bedzies wiedziała,
Ka ci sie lelujka z ogródka podziała?...

A to tak śliczny śpiew był, tak słodki, tak cudny, jakżeby dziecku do snu.

I nie mógł ten Jasiek Mosiężny pojąć, jak potrafił z takiej dziewczki, co się widziała taka zuchwiała i pyszna, taki miły, taki pieszczący głos wyjść? Przebiło go to na wylot przez serce, bo przecie sam muzyką był i on to czuł lepiej, niż inni.

Idzie, ogląda się, a ta przez łąki sunie, w żółtej szmatce na głowie, w białej koszuli, w czerwonym gorsecie i w czerwonej zapasce na ciemnej spódnicy, taka mieniąca, jak sama łąka od kwiatów, a taka świetna, jak pochodnia. I zapatrzył się.

A ta śpiewa zdaleka, jeszcze słodziej, jeszcze ślicznej:

Janickowa nuta hodzi po dziedzinie,
Jako te owiecki po kosodrzewinie...

Janickowe imie nigdy nie zaginie,
Jako se wirsku, tak se i w dolinie...

Rozlega się głos, a jemu serce taje.
A ta śpiewa jeszcze:

Przyjdź Janicku śmiało, kie w okienku siano;
Kie w okienku słoma, to matusia w doma...

Podskoczyło Jaśkowe serce.

Zaś ona, śpiewająca, znikła w wierzbowym
gaju, co pode wsią rósł.

Jaśkowe serce drży, a on sobie myśli: Hej coby
ta! Tak se ino śpiewała... Kaby taka dziewczka ku
mnie!... Ani sie nie popatrzyła...

Tak sobie niedowierzający szedł ku traczowi
Gąsiorkowemu, a wszystko mu drgało na wnętrzu.

* * *

— No, jakze ta? — pyta się go Gąsiorek. —
Oddałeś ten jarzec mléc?

— Oddałem.

— Młynarecke widziałeś?

— Widziałem.

— No i co?

— Nic.

— Nic?

— Nic.

— Wybroniło cie to, coś połknon w Kościeliskak?

— Kaz som jest té deski, co my je mieli rzezać? — mówi Jasiek.

— Oho! — pomyślał stary Gąsiorek. — Wybroniło cie ta wiera, kieś taki do roboty nagły! Idze jesce wypij by półkwaterek téj medycyny! — A głośno rzekł:

— Deski? Deski som jest nagotowione, jino biercie! Ale sie mi tak widzi, co ci sie dziś rence bedom trzęsły?

Jasiek nie nie odpowiedział i poszedł deski rznąć.

Zaś stary Gąsiorek udał się wóz smarowawć kołomazią, bo się na jarmark do Nowego Targu wybierał, i kręcąc koło na osi, mrucał: Smięłowanie Boskie, co to wej w téj dziewce za cary?! A nie jino w téj, ba całke w kobiétak! Co je to przecie, cy to ta głowa, cy to ta noga, cy co inkse, cy syćko wraz? Ale kiebyś dopad, tobyś zjad. Hej coz, kiek wej juz stary! Siedemdziesiont mi mineno na Jakóba... Ej, kieby sie mi tak by dwaścia roków wróciło!... Ale cok jus przeżył, tok jus przeżył, co jek widział, to jek widział, widziałek i Jantoške Kurnotke i Kasie Długopolskom i moja niebozycka piérsa zona fajna była i Kaśka Walka z Pod Brzegu, pojedna by ci była dobrze serce nie urwała od bątrowy, ale jek takiej przecie nie widział, jako ta Maryna wójtowa. Słyhowałek

ze staryk ludzi o wrózkak, co na skode ludziom cyniły; takie to to musiało być. A kiebyk nie wiedział, cyja jest, kiebyk nie znał jój ojca, matki niebozyeki, kiebyk nie wiedział, kie jom do krztu świentego do Ludzimirza nosili, wto jom trzymał: pedziałbyk, ze wto wie co? Zkąd to między ludzi zlazło? Z jakiej planety, lebo z piecary wysło? Jakiesi to carcie kwiaty sie temu na wargi i na ocy zamieniły, bo ik tu takik na świat nijaka jesce baba nie wydała ze sobie... Haj... Wyonacyłek wóz godnie maziom, nie bedzie skrzypiał, nie bedzie sie Małgorzata prać znova ode złości po siedzisku. Hej! Kiz mi téz djasi przeklenci kozeli młodom babe brać?! Skaranie Boskie! Kieby mi sie téz by dwaścia roków wróciło!... Wóla Boska...

Tak stary Gąsiorek, co tracz miał, mruczał do siebie, wóz ze strachu przed drugą żoną Małgorzatą gorliwie smarując.

A Jaśka Muzykę już roztapiało na wnętrzu. Rzeze deski, piłuje, a w oczach mu uroda Marynina stoi, a w uszach mu jój śpiewanie gra — Marysia Chochołowska, Marysia Daleka, była jak miód, a ta tu jako ogień. Zamamiła go śpiewaniem zrazu, przychlebiła mu się potem — ale na co? Bo że ona to nie bez przyczyny śpiewała, tego był pewien. Musiała go widzieć gdzie, w kościele najprędzej, musiał go jej kto pokazać. I takom mu stuke pokazała!...

Nieszczęsny ten Jasiek Mosięzny takie serce

miał: trzysta bab mu się mogło rzędem u szyi wiesznać — on nie; ale jak na swoją natrafił — bądź zdrów! Już w nim ani żyły, ani żebra niebyło — wosk.

Tu bez niom zgine! — myślał.

A coby poprógować? — myśli znowu.

Ej! Ty ta co ś niom wyprógujes! — mówi sobie. — Nie twoje szczęście!

Tamek nimiał szczęścią, moze tu mi Pon Jezus pozegna...

Nie takim On nie pozegnał, jakoś ty...

Ej! kieby jom jesse uwidzieć!...

Dy jutro pudzies po monke...

A Marysia hańta, Hohołowska?...

Lecz pamięć Marysi Chochołowskiej w trudnem, ale artystycznie wrażliwem Jaśkowem sercu spełzła nagle, jak obraz na deszcz wyniesiony.

— Marysia? Daleka?... Kieby mie béła fciała... Ale przecie ona nikogo nie fce — nigda...

I to ogromne słowo przygasiło w Jaśku wewnętrzną rozterkę.

Tego dnia, wieczorem, w lipcu to było i pogoda iskrząca, długo Jasiek grał na piszczałce wierzbowej, bo on na wszystkim grać umiał, siedząc na pniaku do rąbania drzewa na dziedzińcu, a stary Gąsiorek leżąc na pościeli, mruczał do siebie: Piskaj, piskaj — — bedzies ty jesse lepi piskował, nie bój sie... Dzieńkować Bogu, Małgorzata śpi... Fała tys Bogu Nawysemu... Piskaj, piskaj — —

juz ci dusa dziurami wiérbowemi wylazi — — patrzeć, jino ci bedzie po całém cieie hipkać, jak ptak po gałęziak... Ej, Boze daj, coby sie Malgozata by nie obudziła do rania... Kieby sie mi tak dwaścia roków wróciło...

Ale Jasiiek Mosiężny tej nocy mało co spał. Aż przed świtaniem usnął twardo i śniło mu się, że idzie procesya, a w tej procesyi Marysia Chochołowska — i odwraca ku niemu twarz — on z boku stał — i powiada mu: Ej Jasiu! Taki juz mój przeklenty los!...

I znikła, a jego tak coś cisnęło, jakby w przepaść leciał.

Nazajutrz idzie rano do młyna po mąkę, a czem bliżej, tem mu się goręcej robi.

Stoi Maryna we drzwiach.

— Niek bedzie pokwalony — mówi Jasiiek i uchyla kapelusza.

— Na wieki wieków. Amen — odpowiada Maryna.

— Jest monka?

— Jest.

Sama mu ją odmierzyła, wydała, a co raz, to go niby nieumyślnie łokciem zawadzi, spódnicą muśnie. Niebardzo śmiał na nią spojrzeć, ale kiedy pojrzy — — jej oczy na nim, a tak jarzące, jako świeće przy ołtarzu. Ciarki po nim przeszły.

— Hej! Nie twoja tu robota! — myśli sobie.

Aż kiedy się już zabierać miał, powiada mu Maryna:

— Jasiak, wiés, parobkak od koni wyścigała. Cybyś sie nie zgodził do nas?

— Ja?

— Ty.

— Ku wam?

— No.

Patrzy na nią: stoi przed nim, jak zorza.

— Fcielibyście mie? Na prawde?

— Ze ba haj! Cozbyk ci miała figle plésć!

Jaśkowi się aż jasno i ciemno naraz zrobiło w oczach.

— Zgodzem sie.

— Podziękuj Gąsiorkowi. Sprowadź sie do nas.

— Mówiliście z wójtem? z tatom?

— Tata ta sytko zrobi, co ja kcem.

— Od kiedy?

— Hojby od dziśka.

Wraca Jasiak do tracza podziękować Gąsiorkowi, a Maryna siadła na progu i śpiewa:

Pojżrem na jednego pojżrem na drugiego ;
Nimas ci tu nimas Janicka mojego...

Miłość moja miłość, miłość ta przeklęta,
Zamknena mi serce na zelazne pęta...

Zbuduj jaskólecko na hali gniazdecko,
E pocies ze pocies to moje serdecko...

Jaskółka na hali budować nie będzie;
W tym moim serdecku wiecna załość będzie...

Takie nuty biegły za Jaśkiem, tęskne, dźwięczne, rozpuszczone na świat, jak brzozowe gałęzie, jak migotliwe sieci pajęczce jesienne, i szumiały pod Jaśkową duszą i oplątywały ją, aż mu krew z nóg i z rąk do piersi zbiegała. Tak się głosiły za nim śpiewki Marynine.

Kalina malina rosła korale — —
Kohajze mnie hłopcze, kohaj ze mnie stale...

Z kaliny maliny zima spluce cérwień,
Ale ty, hłopcyno, serca mi nie odmień...

leciało za nim.

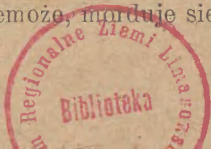
* * *

— Zji cie to dziwcencisko — gwarzy Jaśkowi stary Gąsiorek, wypłacając mu zasługi.

— Niek ze mie juz i zji! Wiécie jako Janosik mówił, kie go umęcyl i wisać mieli? Kedsce me upekli, to me už i zjedzce! — odpowiedział Jasiek.

I nastał dlań dziwny czas.

Maryna, jak królewna, chodzi koło gospodarstwa i we młynie, a on koło niej, jak koło królewny. Nigdy słowa, nigdy nic. Schnie Jasiek, jeść niemoże, spać niemoże, marduje się, widzi mu się,



że żeby jej spódnicę dopadł, toby z nią ślub brał — a tu nie. Tylko jej te oczy błyszczą, jak gwiazdy rozpalone, tylko te piersi w gorsecie chcą koszulę roztargać, tylko się te biodra kołyszą, jak fale na Rogoźniku. Odchodzi Jaśka całkiem moc nad sobą, rozbiera go tak, jak choroba.

Ale mu tak nieśmiało było, że kroku ku Marynie postąpić nie mógł na sobie przemóc. Więzło mu wszystko w gardle i w piersi.

Aż raz, rano, myśli sobie: Co sie tu bedem trafił! Cisnem to syćko i pudem w carty! — I tak postanowił.

I zdarzyło się, że przyszło podczas obiadowania dziecko do Krużłów, taki malutki, trzyletni chłopczyk od Filomeny Komperdowej, krewnej nieboszczki wójtowej.

— Po coześ przisel? — pyta się go stary Krużel.

— Po jabta — mówi dziecko.

— A rad mie widzis?

— Rad.

— A tén dziewcyne lubis? — pyta się go wójt pokazując palcem na Marynę.

A chłopczyk powiada: Nie lubiem.

— Nie lubis mie? — pyta się Maryna.

— Nie lubiem.

— Ani krapke? Ani krapecke?

— Nie lubiem.

— Ani telecko? — i pokazuje mu koniuszek palca i uśmiecha się, a tak ślicznym, tak pie-

szczotliwym głosem mówi, że się zdawało Jaśkowi, że się fuksye na oknie pochyliły ku niej kwiatkami i słuchają.

— Ani telecko?

A chłopczyk myśli i powiada: Telecto.

Zaś Marynine oczy świeciły się, jak ciche gwiazdy pozachodnie.

I Jasiek Muzyka został przy wójtowych koniach.

I było raz tak, że młynarczyk zachorował i Jasiek go zastąpił; zepsuło się coś przy kole — naprawiają z Maryną. Czuje Jasiek na plecach swoich jej piersi wyniosłe, czuje jej oddech gorący na karku, czuje ją całą schyloną nad sobą. Myśli sobie: Nie wytrwam, niek co kee bedzie! Obyrtnem sie, hycem jom bez pół, by raz pocałujem w té ustecka różane, by raz przitulem ku sobie...

Ale mu odwagi brakło. Bo on był taki: pierwszą lepszą dziewczkę ujął niepytajęcy, a co mu się podobowało, to mu odejmowało moc. I tak przy sobie długo stali; jemu ręce dygotały przy naprawie koła, a jej się włosy niedobrze zaplecione rozsypały koło głowy i po Jaśkowym karku błędziły. Ale co sobie pomyślał: Niek co kee bedzie! Obyrtnem sie! — to mu brakło tchu w piersiach, w sercu odwagi.

Naprawili młyn. Zdawało się Jaśkowi, że Maryna jakoś dziwnie popatrzała na niego, nim wyszła.

— Ej, kiebyś béła nie ta! — myślał gryząc wargi. — Nie taka piękna, nie taka pysną, nie taka bogata!... Ej, kiebyś béła nie ta!...

Ej! żeby béła nie ta... Żeby choć taka piękna, taka pyszna, ale nie taka bogata... Cóż ona przedewszystkiem pomyśli? Że mu te pięćdziesiąt morgów pola, te pięć morgów lasu, te konie, te krowy, te owce, ten młyn więcej jeszcze, niż ona sama, pachną. I spojrzy na niego tak, że onby tego nie zniósł...

Prawdę mówił stary Stasiów Szymek Tyrała, że té muzyki to jakiesi całke iné ludzie, że choć som jest dziwtóre i mądre, to jak się już utrefi głupi, to cały dyabeł — boć przecie każdy, ktoby się z taką Maryną żenił, myślałby naturalnie przedewszystkiem o jej majątku, a potem dopiero o jej urodzie, i nie cudowałby się temu nikt, ani ona sama. Ale Jasiak był z tyk, co som nie jest mądre.

Kieby była biédna... Ale tak...

Żeby go kto był z chłopów, albo bab mógł usłyszeć, jak tak rozmyślał, byłby mu był powiedział: Przecieś taki głupi, jak cap!

Wkrótce potem zdarzyło się, że Jędrzej Krużel, strycny ujek Maryny, wydawał córkę za mąż.

Gra Jasiak na weselu, przy nim sekunda i basisty basujący. Dziewki jak sarny, jak kwiaty, ale gdzie im ku Marynie!

Jasiak gra a nie widzi nic, tylko ją.

Przyszedł na to wesele Maciek, syn dawnego wójta Rogoźnickiego, Bartłomieja Fita, którego nazywali wójcickowym Macikiem, albo wójciekiem Macikiem. Właśnie on od wojska wrócił od ułanów, czerwoną miał czapkę na głowie, niebieski kabat na sobie; przystojny był parobek, zgrabny, tęgi i niebiedny.

Kiedy zakrzesał na drobną nutę rogoźnicką, to się widziało, że iskry piętami skrzesze, choć w kyrpeach był.

Do polki Marynę ujął — ej! kiedy się zaczęli nosić. Był on we Widniu i w Preśburgu i w Ołomuńcu, tam się z austryackimi siacami, z czeskiemi holkami nauczył tańczyć. Na Marynę łuny biją, a ten ją wpół objął, przyciska, po powietrzu nosi. A łuny biją i na Jaśka.

Poprosili do jedzenia. Noc była późna. Wyszedł Jasiek w pole, oddéchnąć, bo się i graniem zmęczył, ale to nic, ba mu się serce rozerwać chciało od żalu, zazdrości, od bólu, od gniewu. Grał pod ścianą, grał, aż się włosienie ze smyczka sypały, a ten przyciskał, a ten nosił, a ten tulił ku piersi! Ej! tysiąc djabłów zjadło!

Idzie koło takiej szopezki małej i słyszy za ścianą taki głos szeptem:

— Mūsų!

A to mówił mężczyzna.

A drugi głos mu też szeptem odpowiada: Nie musem!

A to był głos kobiety.

— Musis!

— Nie musem!

— Ba musis!...

Uśmiechnął się Jasiek, oddalił się, pochodził dobrze pół godziny po polu i wraca do wesela. Patrzy: ani Maryny, ani Macicka niema.

Zimno i gorąco mu się zrobiło. Wyleciał z sieni, łap za kamień z pod nóg, ścisnął w pięści — a wtem Marynę spotkał. Poznał ją, bo światło z okien padało.

— Kaś béła?! — pyta jej się i zastępuje drogę.

Wzdrygnęła się Maryna, zatrzymała się, potem chce iść dalej, a nie odpowiada.

Ale Jasiek już nie ustąpił. Chwycił ją za rękę, ścisnął, przybliżył jej oczy do oczu.

— Kaś béła?! Gadaj!

Szarpnęła się Maryna, zmarszczyła brwi, aż się jej zbiegły pod czołem, ale potem rękę w jego ręce wolno zostawi i mówi mu łagodnie: Puść mnie, Jasicku, co ci się stało? Coz mi tak zastempujes, jak zbój, a przecie wiem, że mnie rad mas. No to ci powiem, kak béła? Béłak w doma buty przebuć, bo mie gnietły té nowe.

— Nie béłaś w sópce?

— W jakiej sópce?!

— W téj hań, przy sadzie!

— W ujkowój?

— No!

— Nié!

Ścięła usta, ściągnęła znowu brwi. Zląkł się Jasiék, że ją zgniewa. Puścił, słowa nie rzekłszy. Weszli do izby; ona naprzód, on za nią.

Już siedział pod ścianą, już grał, kiedy znowu Marynę w ciżbie zobaczył. Błada była, nie tańcowała.

— Bez cos nie tańcys? — pyta jej się, kiedy koło niego blisko stanęła.

— Noga mie boli. Ognietło mi.

A wójcicek Macicek ciska mu w chwilę potem trzy szóstki do skrzypiec i śpiewa po góralsku:

Mozes sie pokazać dziewce, kas się skryła,

Cyjeś taka siumna, jakoś weora była?...

I tańczy z panną młodą.

Jasiék gra, aż struny zgrzypią, ten tak śpiewa, tak śpiewa, tamta nie tańcuje, pod ścianą blada stoi — — chcee Jasiék grzmotnąć skrzypce o ziemię, skoczyć, porwać Maćka pod gardło — — ale to może on ino tak tylko śpiewał, może to nie oni byli, tyle dziewczynek, tyle parobków na weselu, tyle się ich rozleciało koło domu podczas kolacyi — — i dzwoni mu i dzwięczy w uszach i w sercu jej głos: Przecie wiem, ze mie rad mas... Béliak w doma, buty przebuć... Jasiéku...

* * *

I nie wyszło cztery tygodnie, już miał być ślub wójcickowego Macieka z wójtową Maryną. Cheiał Jasiek prasnąć wszystko, uciec w dyabły, ale co raz Maryna do niego: Zagras mi Jaśku na weselu..

I zostawał.

A Maciek przychodził do Krózlów dzień w dzień, zawsze wesoly, zawsze uśmiechnięty, zawsze rad. Raz, kiedy Maryna coś przy wieczerzy zuchwale odpowiedziała ojcu, powiada jej: Wiés, Maryna, to se zapamiętaj: jakbyś mnie kie tak odpowiedziała, to byk cie tak wyrzezał tam, ka trza, co za trzi dni nie siednies!

Zaświeciły się Marynie oczy — właśnie jedli kwaśnicę — odwiedzie rękę z łyżką i powiada: Ej! byk cie teraz zaraz nie pacła w kufe!

A Maciek pięść w kułak: Pacnij!

Patrzą na siebie chwilę, spuściła Maryna głowę, wzięła się do jedzenia.

A stary Kruzel, wójt, powiada: Tak trza, panie świenty. Kie baba do cie z grabiami, to ty do niej z cepami, kie baba do cie z nozem, to ty lku niéj z kosom. Tak trza panie świenty! — Bo on ta takie miał porzékadło.

A w Jaśku Mosiężnym ginęło serce.

Ku nocy idzie on przez dziedziniec, a Maryna siedzi na pniaku koło obory i płacze.

— Cegoz płaces, Maryna? — pyta się jej z tklivością i przerażeniem, bo ją pierwszy raz płaczącą zobaczył.

— Bo mie będzie bił.

— Wto?

— Macicek.

— To sie zań nie wydaj.

— Jakze? Kie on fce.

— A to ty mozes niefcieć.

— Nimogem.

— Zalubiłaś go?

— Nié — alek tak, jak zaćarowana.

— Ty?!

— Ja...

Milczą.

— Tyś béła wte w sópce? Na weselu?

— Ja...

Siadł Jasiek ciężko obok.

— Ja wiedział potem, ja cuł, ze to ty...

Maryna płacze.

— Maryna, słuhaj — mówi Jasiek po chwili —
po coś mie ty haw godziła?

— Boś mi sie widzioł.

— Ja?!

— Ty.

— Po coz mi ty to mówis — teraz?! Panjezu-
sie Nasłodsy!

— Widziałeś mi sie...bez ten hyr, co o tobie
po świecie seł. Gadali o tobie.

— A teraz?

— A teraz nic. Przepadło.

— Przepadło?!

— Na zawse.

— Cemu?! Bez co?!

— Boś mi juz teraz tak jak nie.

— Cemu?! Ja by ci przecie przy nogak leżał, jaby ci przecie wierny był jak pies!

Jaby do tobie patrzył, jak do gwiazdy...

— Mnie sie tys to w tobie nie podoba; — miękiś.

— Tamten ci lepszy, co cie bedzie bił?

— Ale je hłop.

Złapał się Jasiek Mosiężny za głowę obu rękami.

— Maryna! Lepi mi było tego nie pedzieć!...
Rany boskie!

I kołysze nieszczęsną głowę i żalność go ogarnęła rozpaczna.

A ona mu powtarza: Miękiś był. Cemuzes mie nie hycił, cemuzes mie nie stusił pod garło, tak, jako on,? Teraz ja jak zacarowana.

— Hej! To tak trza było! — mówi do siebie Jasiek Muzyka. — Hej! To tak trza było... A ja nie wiedział...

I wali się głową ku kolanom.

— Jesce kiebyś mie był wte, kiek ze sópki sła, tak nie puścił. Kiebyś mi bół nie uwierzył, kiebyś mie bół ku ścianie przypar, kiebyś mie bół wyzion! Aleś ty mie zaraz puścił, jinok ci słowo rzekła. Ej! co za hłop taki?! pomyslałak se — mówi Maryna.

— Tobie bić? Dyceś przecie wiedziała, że cie tak rad mam, jak zycie własne! Więcył!

— Nie wiedziałaś! Myślałaś se: lubić mie lubi, ale kieby mie kochał, toby sie przecie ku mnie brał! A ja nie taka, cobyk piérśa ozdziarała ku komu pazdury. — I Maryna podniosła dumnie głowę.

A Jasiék kołysał się w bólu: Hej! To tak trza było!... A ja niewiedział... A teraz co?!

— Przepadło.

Nagle porwał się Jasiék: A cobyk go zabił?!

A Maryna: Tobby cie zaparli do hereśtu i powiesili, a choćby nie, jaby i tak nie posła nigdy za tobie — — mięka w tobie dusa, dziecięca, nie hłopska.

— Ja na tobie tak, jak na królowom patrzał...

— A on mie po parobsku przyniewolił...

Pokiwał Jasiék głową. Hej Maryna! — rzekł po chwili. — Przyniewolił ta i ja siéła dziewek. Aleś mi ty była za piękna i za stokrotnie miéła...

— Jakiesi w tobie dziwne serce...

— Dzwne: Coz teraz s nami bedzie?

— Nic. Ja juz straciła do tobie wołom. Miękiś. Jasiék wstał.

— Bydź zdrowa!

— Onié! Muis mi na weselu grać.

— Za nic!

— Jasiéku! Dy mie przecie rad widzis... Grał mi bedzies. Nie krzywdź mie!

I Jasiék został i grał.



Grał trzy dni i trzy noce, bo takie wesele stary Kruzel wyprawił swojej córce bogaczce. Grał tak, aż mu struny nie zgrzypiały, ale pękały, i cały nowy smyczek się zdarł. Grał tak, aż mu skóra z palców złaziła, aż mu się pięta od przytupywania poczęła obierać, a z włosów przez trzy dni i trzy noce woda się lała. Grał tak, aż się ludzie dziwowali, a jemu się zdawało, że mu dusza wlaźła do skrzypiec i że on ją smyczkiem smaga, smaga i smaga, a mówi jej: miękaś! miękaś! miękaś!... dziecięcaś, nie hłopska!...

Przez te trzy dni i trzy noce Marynino wesele nie wziął do ust nic, prócz wina i wódki. Pił i grał.

Nad świtaniem trzeciej doby skończyło się to wesele i to Jaśkowe granie.

Nie pożegnał on się z nikim, niechciał już nikogo widzieć, rzeczy zostawił, tak, jak stał, ze skrzypcami, tylko pod pachą wychodził z Rogoźnika.

I spotkał starego Gąsiorka, jak koło płotu swojego chodził i żerdki nowe zakładał. Był i on na weselu, krótko, bo rad był, że tam Małgorzata została i że sobie bez niej w domu wypocznie.

Jasiek się nawet nie odezwał, mija go, ale stary Gąsiorek mu rękę na ramieniu położył.

— Nie pozdrówkas mie to nawet, starego? Ani Pana Jezusa nie pokwalis? Kaz idzies?

— Do świata!

— Do świata? Skrony tego wesela? A nie pa-
dałek ci: waruj sie, bo cie zji. Ono cie wej i zjadło.

— Ostańcie z Pane Boge.

— Boze cie prowadz. Hej wiés, ono cie wej to
dziéwecencisko i zjadło. Ale Macicek se ta s niom
rady da. Przypatrzył ja sie mu dobrze. Fajny hła-
piłk. Na takom to trza rzemienia od portek, nie
a strun i smycka. Tyś mięki.

— Ostańcie z Pane Boge.

— Z Panem Bogem. Nie bydź markotny. Moze
cie i Pan Jezus ustrzóg, bo tybyś haw przy niéj
zginon.

Jasiék już szedł gościńcem, a stary Gąsiorék
mruczał: Strasecznie cłek moze zgłupieć bez ko-
biéte. I sie wej przecie fajne hłopcysko widziało,
do rzecy i sprzętne do wsyékiego, i ku tracu, i ku
koniom, i ku młynu, a grać to juz wiedział do-
imentnie. I tak go wej ono wyonacyło... Miłość...
Hm...Cy to ta głowa, cy to ta noga, cy co inkse,
cy syéko wraz... Ale kiebyś dopad, tobyś zjad...
Hm... Ej, kieby mi sie by dwaścía roków wróciło...

Zaś Jasiék Mosiężny Muzyka szedł borami la-
sami ku Węgrom, a mówi do siebie sam: Ej głu-
pi! Ej głupi! Nie trza sie było obyrtnoné wte we
młynie? Małós razy móg?! Dy sama cekała, dy
sama fciała... Ej głupi!... Ej głupi!...

Jaka to dusa we mnie?! Na mój prawdu, ja sie
jej sam cudujem! Co nie fcem, to sie mi w garzcie
pcha, cobyk fciał, to nie moje, a co by miało mo-

jim być, to ja zaś nie uhycem, nie ujmiem... Cyk zacarowany? Marysi Hohołowskiej nimógek brać, sponiewierałek sie bez niom godnie; ten jek móg — przemarnilek... Hej! Cy to pote nie té gęśle mie urzekły? Cy nie ony mie wiadom, ka nie po mnie, a duse mi zmiękczyły, co mi dziewczka mówi: nie hłopska twoja dusa, ba dziecięca!... Nimas, nimas przy nik sećscia! Hej! Cy nie ony mie urzekły?!... A kieby nie ony, toby mie béła ku koniom nie godziła... Gadali o mnie... Bez to!...

I taka go na skrzypce żałość wzięła, że podnosił rękę do góry, w której je trzymał, i chciał niemi o pień grzmotnąć — — ale potem przypomniało mu się, że to przecie wszystko, wszystko i jedyne, co na świecie ma... Że on nie ma nic więcej... Nie, tylko te gęśle i ten z nich hyr po świecie.

I zagrał, ale nie tę swoją nutę, ani nie żadną inną żalosną, tylko wyciął w struny smyczkiem, aż brzękły wszystkie naraz i zaciągnął czarnodunajecki marsz:

Hej idem w las — piórko mi sie migoce,
Hej idem w las — dudai ziemia, kie kroce,
Ka wywinem siekiereckom — krew cyrwonom wytocce
Ka obyrtne ciupazeckom — krew mi z pod nóg bulkoce!...

Tak grając szedł ku Węgrom i już o nim więcej nie słyszeli swoi ludzie.

Mówili jedni, że ku bandzie cygańskiej przy-

stał, co go przódziej zwerbować ku sobie chciała, inni, że się utopił we Wagu, inni, że się rozpił i umarł, a inni jeszcze powiadali, że się ze zbrojnikami aż gdzieś w Siedmiogrodzkich górach stowarzyzył. Nikt nie wiedział na pewno.

Został po nim tylko hyr we świecie i ta śpiéwanka:

Janickowe imie hodzi po dziedzinie,
Janicek zaginon, imie nie zaginie...

GAZDA HALNY

Szedł wieczorem Jędrzej Pazdur w góry, jak często bywało; bo on rad swoje gazdowstwo nocami obchodził.

Miał on gospodarstwo dość spore we wsi, w Cichem poronińskim, pod czternaście korey pola, półtora morga lasu, chował krowy i konia, ale nie to go cieszyło; hej, jego cieszyło inkse gazdowstwo, hań w górak.

A nie był to ten kierdelek owiec, co się mu pasł w Małolące, nie, ino to były te góry, ten smrekowy las, ta woda, a kosodrzewina po upłazach.

Dziwowali się temu ludzie i mieli go za przygłupiego, bo on mało co kiedy o roli, albo o bydle radził, tylko ciągiem: co się ta we Wiérhciej, a co się ta w Jaworowej Dolinie dzieje?...

Idzie Jędrzej, patrzy do światu, noc była jasna, miesiąc wyszedł z za Kosistej; w pełni był. Zająśnił się na lesie pod Żółtą Turnię i pyta się Jędrzeja: Ze po co ześ haw prziseł tak nieskoro, Jędreku?

A on mu odpowiedział:

— Bo ja jest halny gazda...

Idzie w górę do Zawratu, ku Pięciustawom, a myśli sobie: Hej miły mocny Boże! Jako się im tés ta bez zime gazdowało przeze mnie? Koso-drzewiny popod Wołosyn cy tés przybyło kielo telo?... To to jego gazdowstwo najmilsze. Wonieje to, a do słonka się iskrzy, jak złote.

Przyległ na chwilę, zadrzemało mu się. A tak się mu śnije, że się naokoło niego wszystko, wszystko staje zielone, jako na wiosnę bywa, kiedy się ziemia poczyną weselić.

Obudził się, chłodny wiater ku ranu, przejaśniła się noc, tylko w Kościeleu popod turnie gruby cień.

Wstaje Jędrzej, przetarł oczy śniegiem, rąbie stupaje do przełęczu, stanął na niej.

Prawie namieniało na świtanie.

Patrzy się: wiérchy takie jak ze mgły, gdzieś tam od Lodowego przebiela rózeje świat. I wyszedł taki skrawek światła, jak żebyś skrzele od białego kapelusza wystawił. Patrzy Jędrzej, ono się dźwiga to światło, taki obłoczek różany, leciuteńki, ciuhućki. I wyjechało takie słońce, jakoby się porosiło kasi w dolinak, jakieś mokre, wilgotne, wypłynęło tak do pół z poza turni i pyta się: Ze po co ześ ty haw prziseł, Jędrak, tak rano?

A on mu odpowiedział:

— Bo ja jest halny gazda.

Wziął się potem na dół ku Pięciu Stawom.

Lepiej mu się szło, niż do Zawratu, bo od południowej strony śniegi już wytajały, mało gdzie co zawadził, zbiegł wartko ku stawu Pod Kołem. Zamarzniony.

— Nie tu po mnie — myśli Jędrzej. — Niek se ta lód gazduje, kie je taki sparty. Telo jego.

Spojrzy dalej — hej! Wielki Staw czerni się między skały.

— Stawecku! Stawecku! — woła Jędrzej — Tuś?!

A ono mu tak zaszumiało z tej wody:

— Hej, gazdo! Witajcie! Nie było was tés dawno!

— Jakoz ei sie ta drzémało pod lode? — woła Jędrzej.

A staw mu gwarzy:

— Dobrze. A tak sie mi śniło, co syćko bedzie zielone.

— Ej tak i mnie! — mówi Jędrzej. — A radeś, ze ci ku niebu widno?

— E! Dy to u mnie tak, jak nawonniejsy kwiat! — mówi Staw.

I tak tam oni radzili do siebie.

Poziera Jędrzej, rozwidniło się, świetleje po niebie: słucha — idzie po kosodrzewinie szum, pocięplął wiatr.

— Bedzie jehał śnieg — myśli se.

A tu ono tak gra od turni, jakosi tak, że się



Jędrzejowi gardło ścisnęło i lży mu do oczu naszły.

Wyciąga ręce ku Wołoszynowi i krzyczy:

— Hej! gazdowstwo moje kohane! rodzone! prześlicne!...

Pogląda po Wielkim Stawie, ogląda po Przednim, aż się zadziwował: Kiele som tés!

A Sikława huczy mu, wali się z grzmotem ku Roztoce, i potoki lecą z Wołoszyna, a taki z nich szedł śpiew, jak z dzwonków.

— Wody mam dość — mówi.

Weźmie kosodrzewiny kitkę w rękę, pomacał.

— Pięknie zrosła. Nagodziel Bóg urodzaj, ni-ma co pedzieć — mówi. — Wiaterek duł, oduhował, toz to rosło, jak zyto. Ino by trza tén śnieg pouprzątać dolinami, ale to sie ta wartko robi z wiesnom. Turnie sie juz tés pozwydobywały kielo telo ze śniega, śmiejom sie do słonka, jak nowe...

Gdzie spojrzy wszystko jego: tu wody, tam góry; świecą mu się stawy, zieleni trawa, oczyma ledwie objąć może to swoje gazdowstwo.

Wszystko wydało mu się po myśli.

— Bogatyk jest — rzekł. — Tu sie mi w Pięci stawak, dziękować Bogu, wydarzyło tego roku dobrze.

A potem się Jędrzej zabrał ku Miedzianemu, na Śpiglasowe Pérci.

Zestraszył kozy. Rad widział Jędrzej kozy, ale go to mierzało, że się go bały.

— Djabłaście wy zjadły kany dziś! — mówi im. — Dy wam nic złego nie robiem, cegoz sie mi boicie?

Zasmuciło mu się serce, że się go te kozy boją, na jego gazdowstwie. Tak jako zające w kapuscie! — pociesza się.

A nad Stawami wyszedł dzień i przelocily się ciemne turnie Murów Liptowskich.

Jasność załala dolinę, rozwidniło się w okrąg, co jaze cud radość.

— Hej! grajom tés wody do słonka! Ciepło im, ciesom sie — myśli Jędrzej.

Cud! radość!

Obrócił się na pérci plecami ku Miedzianemu, ku śniegom, i patrzy: woda gra, mieni się, telo na niej farby, jako w tęcy, a wiatr leci doliną, rozpiął skrzydła, topi śniegi, aż się zażółciły po pod Krzyżne. Gdzie już pierwej stajały, trawa rośnie, zieleni się, młodziutka, wiosenna, a potoki się z niej sączą na dół strugami, jak pręgi szklanne. Jakisi idzie młody deh dolinom, jaze duk w cłowieku rośnie!

Takie to było prześlicne Jędrzejowe gazdowstwo...

* * *

Już go nie opuścił.

Tego dnia, kiedy wieczór nastał, wielki księżyc po pełni, wyszedłszy nad wierchy, zaświecił już na czerniejących pośród śniegów co stromszych skałach, i potem począł wolno oświetlać zanurzone w mroku straszliwe puste doliny, zaćmiewając się tu i owdzie na turniach i w żlebach, jakby się światło błąkało w bezdrożach. Szumiały w ciemności nocnej wody, bo już mróz nie ścinał ich lodem. Pustkowia zaumarłe napępniały się żywym, ciepłym powietrzem. Zdawało się, że się wzrusza coś w górach. Już nie było zastygłego spokoju zimy — szła wiosna.

Kiedy blask księżyca począł spływać po białych upłazach Miedzianego, nagle olśnił głowę i ramiona Jędrzeja Pazdura, wystające ze zwału śniegów.

Musiała się oberwać lawina ponad nim i przysypała go w pędzie.

Śnieg utknął w głazach, pośród których Jędrzej stał i nie zniósł go niżej, a tylko ogarnął po ramiona, tak, iż tkwił w nim twarzą obrócony ku przestrzeni. Mdlejące już, nieprzytomne otwarł Jędrzej oczy na księżyc. Ciepły wiatr gnał deszczowe obłoki; huczały strumienie wiosenne — usłyszał. Nie czuł bólu, nie czuł śmierci. Popatrzał jeszcze raz dookoła zaszklewającymi się oczyma. Hej! wiosna idzie — szepnął — syćko, syćko będzie zielone...

KRYSTKA

Było takie przedpołudnie późnego września, kiedy Krystka poznała Jaśka.

Słońce się het po polach rozlało, zimne i czyste, na Tatrach zakwitł mróz białomodrym zlodniałym szronem, a światło od nich szło ostre, jak w zimie od szyb kościelnych. Na lasach światła mgła, a tak drży, jakby dzwoniła.

Po polach owsy w grzędy kładzione, pozłociste.

Od młodych rozsianych smreków pada zbity, potężny cień; od olszyn i brzoź polotny i świetlany. Gdzie biegnie płot, miejscami świeci się górną żerdzią, jak z polerowanej stali; gdzie gdzie daleko fura ze zbożem, to jakby płynęła cicho na własnym cieniu. Gdzie wody strużka, to żywe dyamenty.

Cicho przelatują ptaki.

Po rżyskach, po żółtej ścierni bydlę się pasie. Krowy włączą za sobą swoje widmo, albo nagle stają w słońcu, jak z mosiądzu. Czasem krowa zaryczy, czasem cieleć beknie. Tu owdzie pasterz, czy pasterka zaśpiewa. Popod las dzieci ogień

kładają, dym prosto w górę leci, siwobłękitny, płomieniem targany od dołu w czerwień jaskrawą.

Potoki szumią w dole w zagajach, jednogłośnie, wiekuiście.

Cisza zaszklona w powietrzu i słońce iskrzące, zostrzone na zalodniałych, zamrożonych Tatrach, prześwietne, przebujne po świecie.

Krystce było wtedy szesnaście lat. Pasała krowy.

Leżała sobie na darniowym kopczyku granicznym w polu, między ściernią owsianą, zawinięta w chustę pasiata, czerwoną i żółtą, trzymała se bież w rękach i śmigła nad głową, na wznak leżąc nogami w dół, które się jej prawie do kolan z pod podwiniętej spodnicy wysunęły.

Dziwnie jej było koło serca, jakby ją coś łaskotało pod pazuchy, a razem piersi chciało zerwać. Trze się raz po raz o darń plecami, posuwa się, poprawia się, nie może się wygodnie ułożyć, coś jakby ją podrywało i wzruszało jej plecami to do góry, to na dół.

Aż sobie zaśpiewała na całe gardło:

Kie jino dziewcyńie piętnoście let minie,
darmo jej pilnować, bo za hłopce ginie!...

a tu coś zazberczy jej nad głową i odzywa się do niej ostry, męzki głos: — Coz se ty tak śpiewas, dziewce?

Ale Krystka nie odpowiedziała, bo jej się tak jak zalsniło w oczach. Stał nad nią chłop, parobek, jakby ze słońca zszedł. Świeci się na nim blacha na piersi, świeci opasek od klamer, świeci ciupaga w rękę i kółka przy niej przyprawione na toporzysku, świeci się biała czucha na ramionach i świecą się czerwone parzenice na portkach, a z pod czarnego skrzela świeci się twarz rumiana i takie oczy niebieskie, jak goryczki o rosie. Zapatrzyła się Krystka do znaku; on to widzi i uśmiecha się:

— Coz się tak przypatrujes do mnie? he?

Krystka była cięta z natury, otrząsa się z olśnienia.

— E boście mie zestrasyli — mówi.

On się znowu uśmiecha:

— Cy jek taki brzydźki? — pyta się.

— Coby ta! Aleście mi zezbyrceli nade głowom. Cysto piékniek się przelekła.

Chłopiec postął chwilę, widocznie mu się Krystka trochę spodobała. Popatrzyła na niego bystro, prosto w oczy.

— Daleko idziecie?

— E ta idem, ka ta idem... — A potem dodał: — Ku Stawom. Som ta jest jesce owce.

— Ej, kiele to pióro macie! — mówi Krystka, bo się właśnie nachylił i od pióra cień padł na ścierń.

— Z orła. Fciałabyś je?!

— Cos mi po nim? Kaz sobie przypawiem? do smatki?

— Tu — rzekł chłopiec i zawinął jej ręką oko-
ło piersi.

— Siedźciez!

Odepchnęła go łokciem, aż mu ręka w tył po-
leciała, ale ją dreszcz przeszedł przez całe ciało,
osobliwie przez plecy.

— Cyś poświęcana?

Nadrabiał miną, ale był zmieszany. Krystka za-
częła czuć się zupełnie śmiałą. Chciała mu powie-
dzieć, coś, coby go ośmieszyło, ale gdy spoglądnę-
ła na tę twarz rumianą pod czarnem skrzydelem, z za-
którego sterczało pióro długie i pośmigłe na wie-
trze, nie chciało jej żadne słowo ostre wyjść z ust.
On to poznał i znowu się uśmiechnął:

— Myślałby wto, żeś taka zła.

I siadł przy niej na kopczyku.

— Mam cas — rzekł.

— E dy rano — odpowiedziała Krystka, czu-
jąc, że jej tak jakby miękło ciało.

— Jakoś se to śpiewała, kiek haw seł?

Krystka zdziwiła się sama, bo uczuła, że się
wstydzi, co jej się nigdy nie trafiło.

— Zejeście przecie sżiseli.

— Jakos to było?

— Zabacyłak.

— Cybyk ci nie przibacył?

— E jako? — i zapłonila się Krystka i odchyliła głowę na bok.

— E tak! — i parobek objął ją w pół przez chustę pasiata i przygarnął ku sobie.

— Zkądżeście? — spytała po chwili Krystka.

— Z Gronia.

— A coż wy macie przy Stawak za owce? Dy hań Zakopianie, nie Grońscy!

I nieufność przejęła jej umysł góralski.

— E, tategk ci ta jino pedział. Nimam ja hań owiec nijakik — rzekł chłopiec.

— Ba co?

— Ba jino przedem hańtędy, bez Liljowe.

— Ka?

— We Wiérhchom. Mam sie ta z kimsi uwi-dzieć.

Oczy mu błysły chytrze i zawiesiście.

Popatrzyła Krystka po nim: miał dwa noże we-
tknięte za pas i pistolet.

— Ej ha! — pomyślała. — Dy to zbójnik!...

I zaraz wielki podziw i zachwył weszły do jej
serca.

— Kie zaś bedziecie wracać? — spytała.

— Moze tak o tydzień, albo o pieńć dni. Be-
dzies haw paść?

— Bedem.

— A jakos ci na imie?

— Krystka. A wam?

— Jano. Das mi gemby?



Krystka się zarumieniła mocno i schyliła twarz ku piersiom, potem się uśmiechnęła i spojrzała z pod rzęs.

— Das?

Szepnęła cicho: — Dam.

Więc Jasiiek objął ją wpół i pocałował; zaraz ogromna lubość wpłynęła jej w żyły.

A kiedy szedł od niej ku lasowi pod górę, prosty, wysoki, biały od świecącej czuchy, z długim, pośmigłem na wietrze piórem za kapeluszem, zebrało jej coś w piersi i rzuciła mu w głos:

Zoł mi cie, zol mi cie, drogi jaksamicie,
jo cie nie odzolem, pokił moje zycie!...

On zaś jej odpowiedział już z lasu:

Nie płac, freirecko, hoć jo na zbój pude,
jino proś u Boga, to jo twoim bude...

I długo jeszcze głosił się z lasu jego śpiew, coraz dalszy, coraz cichszy, aż począł niknąć i tonąć w głuchości mroku drzewnego. Tak odszedł od niej gdzieś tam w osędziałe od szronu Tatry, w mróz, w pustkę, w samotnię straszną jesieni, wesoly, śpiewający, o rumianem licu, ubrany, jak na święto, świecący od mosiądzu i od zbroi na sobie.

Naokoło Krystki zrobiła się cisza.

* * *

W skwarne popołudnie czerwcowe szła Krystka w las smrekowy pod Wołoszynem, co nad hałą rósł. Dzełęgały z daleka spiżowe dzwonki owiec. Szła Krystka i śpiewała:

Wionku lelijowy, spodeś z mojej głowy,
pudzies dołu wodom — nie zeńdę sie s tobą...

— Ale nie załujem — pomyślała w duszy —
i śpiewała dalej:

Juhasy, juhasy, dyć sie Boga bójcie,
zgubiłak wionecek, dyć mi go powróćcie...

— Wrócilibyście! Psiogłowce zatracone! — rzekła półgłosem.

Dyciek sie taiła, taić sie nie bedem,
gotuj kołysecke, jo pieluski bedem,
gotuj kołysecke z drzewa limbowego,
a jo pielusecki z rąbka bielonego...

— Ej wiera! Ka zaś ta! Tak źle niéma! — zaśmiała się.

Posłuchała chwilę — zdaleka podzwaniały dzwonki w odstępach, rzadko i niegłośno. I zaśpiewała z czułością:

Ino cie, Janicku, siwe ocka zdobiom,
rence kata zjadły, nie rade nic robiom...

— E, dy mu ta nie trza. Mało to jest śrybła po orawskik miastak, po luptowskik sklepak?

Cemuz ci sie, hłopce, piórko nie migoce?
Doleś je freirce za zółte warkoce...

— Ej raty! Migotało sie mu ta, migotało, kie my sie piérsy raz zešli na pastwisku. Bedzie juz trzy roki hnet, na jesień...

Kohoj ze mnie, hłopce, jakoś mie zapocon,
niek ci sie za inom ocyeka nie tocom...

— Dałaby ja jej! Sto djabłów zjadło! Tu jej śmierzé!

Tupnęła nogą i znowu po chwili zawiodła przez tęsknotę słodką i wielką:

Abo se przyjdz ku mnie, abo mi sie przyśnij,
e bo ty nie wyjndzies nigdy z mojej myśli...

— Ka on tés? Maryjo, Maryjecko! Ka on tés?
Miał tu dziś być przy sałasak...:

A w ten czas z góry, z za turni, z leśnej pérci, któredy owce rano chadzają w upłazy, dał sę sły-
szec ostry, męzki Jaśkowy głos:

E dy jo se śpiéwom, hocioz se nic nimom —
ptoskowie śpiéwajom, hocioz nic nimajom...

— Jasicku! Jasicku! — krzyknęła Krystka i z wyciągniętymi rękoma pobiegła ku pęrci pod górę. A on śpiewał dalej:

Hej wolny jo, wolny, jako ptosek polny,
hoć jo na ślebodzie, jak ryba we wodzie...
Uha!

Kiebyś miała rozum i po temu zdanie,
to byś mie howała za samo śpiewanie!..

i wesoly, pyszny, dumny ze siebie i strojny, wynurzył się ze smrekowego boru, biały od stóp do głów i świecący.

— O mój Jasicek — szepnęła zadyszana Krystka, rzucając mu się na szyję. — Najmilsy! Złoty!

— Jak sie mas? — odrzekł Jasiek. — Głodnyk jest. Jest ta zyntyca, albo kluska w sałasie?

* * *

Wieczór sierpniowy, pogodny, bezmiesięczny, nabity gwiazdami. Pod Wołoszynem kołysze się las śmigle, jednostajnie; szumią smreki w uboczy, jakby zaczarowane na szum.

Spojrzeć w górę: gwiazdy na nich, na gałęziach, jak złote ćmy, wyklęte na ten las z jakiegoś złotego świata. Spojrzeć wyżej, z polanek leśnych: gwiazdy na turniach, jakby góry, w kamienie drogicze czarowane, zakwitły.

Idzie Krystka przez las i ręce łamie.

Leją się jej łzy z oczu i warkocze stargane z pod szmatki jej na ramiona opadły; idzie, a rozpacza.

A kiedy jej już serce pęknąć chciało od bólu, wtedy jej się otwarło, jak tama na grobli w czas powodzi, w piersi śpiewanie żalosne. I wydarł się jej głos:

Moje serce płace, ozpuknie się we mnie,
co ja na Janicka cekom nadaremnie...

Moje serce płace, dobrze nie zamiéro,
co się moja krasa darmo poniewiéro...

Echo szło; Krystka nie wiedziała, z kąd jej się biorą te niesłyszane nigdy słowa. Siadła na kamieniu, skryła twarz w ręce i zaczęła płakać. A potem, kiedy jej znowu pierś rozerwać chciało, wydarł się z niej znowu głos:

Nie będę, nie będę syroko pościelać,
bo się już nie będę Janicka spodziéwać...

Siano na pościeli łą by się rosiło,
scęście odebrane by się mi przyśniło...

Scęście odebrane, niescęśno godzina,
joby nie dożyła do biółego rana...

Echo szło przez las. Dźwignęła się Krystka i szła za niem. A w piersi jej wstały nienawiść, gniew. I zawyła jak las szeroki:

Kieby jo wiedziała, co mie to zaboli,
prosiłabyk Boga, cobyś zgnił w niewoli!
Coby ci w noc ciémnom carty drogę zasły,
coby ciało twoje kruki w polu znasły!
Kieby jo wiedziała, ze ty nie bedzies mój,
samaby jo wila na garło strycek twój!...

Echo jęczało po lesie, a Krzystka wyła dalej,
jak suka rozwścieczona:

Pockoj ty, Jadwisiu, dziewce malowane,
jino jo hań zajnde popod twoje ściane!
Pockoj ty, Jadwisiu, siwe ocka w tobie,
jino jo hań zajndem téj nocy ku tobie!
Pockoj ty, Jadwisiu, siwe w tobie ocy,
jako sie krew z tobie po lesie potocy!
Potocy potokem, potocy sie rzekom —
jako cie do truchły bielučko oblekom!.....

Zacisnęła pięści, porwała się dalej iść, w las,
w las!... Wilgotne paprocie były jej o nogi, chrzę-
ściał jej pod stopami chrust i wrzos.

Echo ryczało od jej śpiewu, a stary baca Mi-
chał Zwijac w Rusinowej Jaworzynie, któremu
bębnowało za uchem i spać nie dawało w nocy,
dźwignął głowę z pościeli, nadśłuchiwał i dziwo-
wał się sam do siebie: Kiz ta djasi tak holofiom
po lesie? Cy sie im ukotwiło w piekle, cy jako?

Tymczasem Krystka wracała ku szałasom pod
Wołoszynem. Grzmiały jej w piersi żal i zawzię-
tość straszliwa. Nie szła, ale leciała przez las od

Rusinowej Jaworzyny, ku której przybłądziła, w górę. Gięte ramionami i piersią gałęzie smreków, bita biodrami kosodrzewina po drodze, rozchyłały się przed nią z szelestem i szuszczeniem; czasem chlupła woda w młaczysku. Gdzieś rogacz spłoszony zatętnił po gąszczu i przepadł. Krystka z wciętemi w wargę zębami gnała przez las ku hali. Świeciło się od szałasów, które tonęły w ciemności w potężnym mroku pniów i obwisłych ku ziemi szerokich konarów i gałęzi. Psy zaczęły Krystkę i przybiegły ku niej z wesołym ujadaniem i merdaniem ogonów; kopnęła najbliższego, aż zaskowyczał, i przypadła ku szałasowi, z kądem się przez szpary w ścianach jarzyła watra.

— Jest hań wto? — krzyknęła ku drzwiom.

— Ja jest — odpowiedział z wnętrza Jasiek.

Stanąła we drzwiach. Z niskiej, czarnej, od strony watry rozjaskrawionej izby szałasnej buchnął ku niej dym i gęsta, duszna woń smolnego ognia, wilgotnych szmat i nabiału.

— Sameś tu? — spytała, patrząc po ławach w cieniu.

— Sam. Sytka pośli na sopy spać.

Weszła przez wysoki próg. Jasiek siedział na ławce i ręce grzał nad ogniem.

— Zimno ci?

— Jakosi mi rence zmarzły, bięda ozgrzać.

— Cemuzes nie przy Jadwisi? Onaby ozegrzała hnet!

Jasiek uśmiechnął się szyderczo, spojrział do góry na stojącą nad nim Krystkę i rzekł spokojnie:

— Bak ta feiał i na tobie zajźréc.

— Ja cie nie potrzebujem haw! — krzyknęła Krystka. — Słisys? Nie potrzebujem tobie haw!

— Ba ka? — Uśmiechnął się Jasek. — Na so pie?

Na Krystkę uderzył pons i oczy jej się zaszklily łzami; chwyciła go za ramiona dłońmi.

— Jasiek!

Popatrzał na nią z flegmatyczną ironią z głupia frant i zapytał:

— Co?

Krystka rzuciła się przed nim na kolana. Tracona nogą gałąź we wiatrze prysła iskrami pod powałę.

— Jasiek! Nie kohałak cie?

— E ta było, co ta było — odparł, poprawiając toporzyskiem od ciupagi sajty płonące; ogień wzburzony zawarczał i zapienił się zarzewiem.

— Nie kohałak cie? — mówiła Krystka, raczej jęcząc. — Nie byłak ci wierną za té trzy roki? Tyś był pirsy, tyś był ostatni. Nie goiłak cie, kie cie Wawrzek Miętusów zacion obuhe do głowy? Nie ratowałak cie, kie cie Dunajeanie przysiedli na weselu? Nie zastompilak we dźwiérzak zian-darom, kie cie przišli do nas sukać, coś pokrad piniondze w Hohołowie? Jesce mam niebieskie ciało, co mie wtorysi kolbom durknon, kimeś okne

uciók do pola z kómory. Nie sukalak cie, kieś odpad z kozom na grzybiecie z turnie w Miedzianém? Juześ cysto piéknie zamarżniony bël. A dobrze mie wte kulka luptowska mie przebiła. Jasiiek!

— Co fees?

— Cos za to mam? Cos za to mam? Co?

— Korale i piéc dwaścicia talarów.

— Ej kiebyk je haw miała! Tu byk ci je prasła, w tén watre! ,

— Zje toby sie ziskrzyła.

Tu Jasiiek wyjął z kieszonki od serdaka fajkę i zaczął z niej drutem wygrzebywać węgliki i popiół z tytoniu.

Krystka, klęcząc, objęła go wpół i przysunęła usta ku jego twarzy.

— Jasiu, Jasiicku — rzekła boleśnie — źle ci było za té trzy roki?

Jasiiek wytrząsł węgliki i popiół na dłoń, wydobyl macharzynę z tytoniem i nakładł go ku nim.

Krystka patrzyła mu w oczy:

— Jasiu!...

— Co? — rzekł Jasiiek, splunął na tytoń i począł go mieszać na ręce.

— Nie pudzies więcyl ku niej? Prawda?

— Ze ka?...

— Ku Jadwidze...

Jasiiek wepchnął tytoń, zmieszany z węglkami, do fajki, wsadził ją do ust, wyjął z watry płonący patyk, przytknął żar i przyklepał palcem, pyknął

kilka razy, rzucił patyk we watrę i cyknął w ogień śliną. Krystka przysiadła przed nim na piętach i patrzyła nań, jak w dziecko swoje.

— Jasiu — ozwała się półgłosem — co fces, to ci dam.

— E dyś mi juz héba syćko dała? — przyzadrwił Jasiek.

— Bedem cie opiekunować, jak matka. Nie bees nigda nie robił...

— Ej ja ta i teraz nie moc robujem.

— Bees miał syćko tak, jak pan! Miéso ci warzyć bedem dzień na dzień.

— Ej wiera — I Jasiek znowu cyknął ze zębów śliną do ognia. — Coz mi das jesce?

— Na zapowiedzi dam!

— Z kim-ze to?

— Jasiek? Nie bydź taki okrutny! Jak cart! Jasiek wstał z ławki.

— Ka idzies?

— Ka mi sie podoba — odrzekł spokojnie.

Krystka objęła go znowu przez pas.

— Nie kohałak cie? Nie bośkałak cie? Nie tulilak cie? — mówiła pieszczotliwie półgłosem. — Kieś prziseł, toś był mój. Przisełeś w noocy, inoś malućko zburzył na oknie, albo popod ściane, cyk ci kie nie otwarła? Przisełeś w zimie, hoć jak zimno béło, cyk nie skoczyła ku tobie w kosuli? boske? Wse jek cie witała, jak zbawienie! Jasiu!



I Krystka dotknęła mu czołem kolana i objęła nogi.

— Janicku! Jasiu!

Ale Jasiak się zniecierpliwił trochę, szarpnął i cofnął się ku drzwiom. Krystka nie puściła mu nogi i powlekła się na ziemię.

— Puść-że mnie!

— Nie puscem cie! Tyś mój! Tyś mój! Tyś mój!

— Ja jest tego, co mi wóla! — rzekł Jasiak niecierpliwie.

— Kyrpce ci będę całować! Nie fces mnie więcej?

— Całuj! — odparł Jasiak. — Dycieś mnie nie kupiła, cobyś mnie wiązała, jak bycka.

— Kupiłam cie! I na wieki!

— Cym?

— Sercem mojem!

— Baj to! — skinął Jasiak i zabierał się ku drzwiom.

Wówczas Krystka zerwała się na nogi i krzyknęła:

— Stój!

Głos był tak wściekły, oczy Krystki tak zapalone, że się Jasiak zatrzymał.

— Stój! — krzyczała Krystka. — Powiedz mi! Co ci się więcej zwidziało u tej warguli? Cy je jest bogatsza jako ja? dziadula zatracona! Cy je gładsza na licu? Cy je sumniejsza? Co ci się w niej

spodobało nade mnie? Inoś jom uwidział piérse to lato, juz cie ku niej ciągnęło! Inoś sie hańbiel zrazu! Ty! Cym cie ona zamamiła ku sobie Ty? Cy ja nie jest dziewka jak sie patrzy? Co?

I stała przed nim z chustką opadniętą na ramiona, z roztarganemi włosami, ze świecącymi czarnemi oczyma i łuną na smagłej twarzy.

Jasiek w kapeluszu na bakier, z fajką w ustach, opierał się pod bok na ciupadze.

— Co ci sie zwidziało w niej nade mnie!?

— Siwe ocy.

— Ocy siwe?

— Haj.

Krystee zapaliła się jeszcze więcej twarz i tak jak piorun przyleciał i zawisł jej między brwiami czarnemi.

— Ocy!? — krzyknęła znowu.

— Haj — powtórzył Jasiek niedbale, a niecierpliwie.

Piorun prężył się między brwiami Krystki, ale twarz jej zmieniała się i w uśmiechu zabieliły jej się między wargami drobne, ostre zęby.

— I ty ku nej fees isć?

— Ja hań idem, ka sie mi fee.

— Pewnie! Na mój sto prawdu! Kiebyk se té ocy na siwo pomalować mogła! Cos im robić? Nie zesiwiom mi w głowie. Nimas rady nijakiej! Ale pockajze, Jasiu, nie hodź, ja ci jom haw przywiędem. Kies mi tak do rozumu pedział, tok juz ma-

dra. Siejdzę haw w sałasie, prziwiedem ci jom doraz!

Porwała wielką żagiew palącą się z ogniska.

— Ciemno! Poświécem se!

Jasiek przekrzywił się na ciupadze i patrzył na Krystkę trochę zdumiony.

— Co fces zrobić, Krystka? — spytał.

— Prziwiedem ci jom! Bees jom haw miał w sałasie.

— Krystka?

— Siedz! Doraz haw beemy obie. Kieś mi do rozumu przemówił, to ja juz mądra.

I z płonąca, ogromną żagwią, jak pochodnia, wybiegła z szałas; przez szpary widział Jasiek po świetle, jak szła ku szopie Jadwigi, o kilkanaście kroków.

— Jadwiga lezy na sopie — pomyślał. — Cy jom bedzie wołać ku mnie, albo co?

I siadł spokojnie napowrót twarzą ku wiatrze.

Krystka dobiegła szopy Jadwigi. Pozberkiwały z niej dzwonki krów na noc zamkniętych. Jadwiga siedziała na progu od pola.

— Cos hań? — spytała, widząc ogień żagwi, zbliżający się ku niej.

— Nie śpis to jesse, Jadwiś? — ozwała się Krystka.

— Nié. To ty, Krystka?

— Ja.

— Po cożeś haw przisła s tym ogniem?

— Po tobie.

— Na co?

— Pudzies se mno.

— Zje ka? Kaz byk miała iść?

— Ku Jaškowi.

— Ku Jaškowi? On haw przydzie sam — od-
sieła się Jadwiga.

Krystka pomilczała chwilę, potem rzekła dzi-
wnym głosem:

— Siwe mas ocy, Jadwiś?

— Jakie mam, takie mam. Cos tobie do tego?

— Jadwiś! Siwe mas ocy?

— Kiz ei carci do moik ocy?! Siwe cy bure, cos
ei po nik!?

— Jadwiś! Siwe twoje ocy?!

— E, to sie im przypatrz!

— Pokaz!

— Idze, skądeś przisła! Co fces ode mnie!?

— Pokaz ze je té ocycki!

— Krystka! Cyś ogłupiała!? Co fces!?

I Jadwiga dźwignęła się z progu i stanęła twarz
w twarz przed Krystką, czerwieniąc od ognia nad
sobą.

— Co fces!?

— Ocy twoje fcem! To! — krzyknęła Krystka
i palnęła ją płomieniem żagwi po oczach.

Straszliwy, góry wstrząsający wrzask rozdarł
mrok leśny i noc. Psy zaszczekały przeraźliwie,

a echo wrzasku rozleciało się na przestrzeń, jakby skały zawyły naokoło. Za tym wrzaskiem poszedł drugi i trzeci; polanę nappełnił jęk przeraźliwy, okropny, wytargany z wnętrzości.

Jasiek wyskoczył z szałasu i pobiegł ku szopie.

— Co się haw stało?! — wołał. — Krotni miliońscy! Coz się tak dre? Co...

Głos mu uwiązgł w gadle. Krystka trzymała za rękę tarzającą się po ziemi i ryczącą Jadwigę i świeciła nad nią wirem iskier z żagwi. Ujrzawszy Jaśka, krzyknęła:

— Tu jom mas! Haw mas siwe ocy! Przypatrz się!

I machnęła ku niemu ogniem.

— Coś jej zrobiła? Niesczęśnico?!

— Co?! Podpaliłak jój ocy, jako mek! — zaśmiała się Krystka, aż zabrzmiało po lesie.

Pobudzeni ludzie zaczęli wynurzać się z budynków i biegli ku miejscu, skąd słyhać było jęki i krzyki i błyskał płomień w powietrzu. Ale Jadwiga nagle przestała jęczeć i miotać się po kamieniach i gnoju; musiała zemdleć z bólu.

— Podpaliłak siwe ocy, jako mek! — powtórzyła Krystka, puściła rękę Jadwigi i cisnęła dogasającą żagiew precz od siebie.

Stało się cicho i ciemno.

Wówczas podeszła ku Jaškowi, który stał nieruchomy od grozy, owinęła oba ramiona około je-

go karku, mocno, sprężyście, przesilająco, i przycięła mu głowę ku sobie.

— Teraz ty bedzies mój! — rzekła dzikim półszepcem. — Teraz ty bedzies mój!

A on się pochylił ku niej, zniewolony, ale i nieoporny.

Krystka ujęła go za rękę i powlekła w ciemny, lekko szumiący las.



JAK WZIENI WOJTKA CHROŃCA

Jakóbek Huciański dymał co tchu do góry, a pokrzykiwał sobie:

— Ej wiera! powiem mu! Ej wiera! powiem mu!

Jakóbek Huciański miał już czternaście lat i rozumiał doskonale, że tego, iż Wojtek Chroniec, który „dezenterował“ z wojska, siedzi u nich na hali — nie należy nikomu opowiadać, ale również zdawał sobie z tego doskonale sprawę, że to, iż Kasia Pęcowska, Wojtka freirka, tańczy w karczmie z parobkami, Wojtkowi opowiedzieć należy. Pędził więc co tchu w górę, a pokrzykiwał sobie:

— Ej wiera! powiem mu! Ej wiera! powiem mu!

Pędził też co prawda i dlatego nader pośpiesznie w górę, że się ogromnie bał niedźwiedzia który zeszłej nocy „narobił mięsa“ na polanie.

Las się skończył, smreczki zaczęły rzednąć, prześwieciła polana, zalana światłem księżyca.

— No! tok jus haw — powiedział sobie Jakóbek.



Poczem zaczął wołać na psy: — Tu! tu! tu! tu! — a te, poznavszy głos, z hałasem pobiegły ku niemu, a że Waruj, wielki jak ciele, wsunął mu się pod nogi, Jakóbek go okraczył, łap za obrozę i z niezmiernem szczekaniem zajechał na nim przed bacowski szałas.

— Ej, ześ tys wartki — powiedział mu bacia. — A przynióżeś syćko?

Jakóbek wyjął z torbki paczki habryki, śwabliki i palenkę.

— Syćko jest, coście kozeli.

— Naści — rzekł bacia, dając mu wielkie miedziane cztery centy. A w tej chwili dźwignął się Wojtek Chroniec, który leżał pod ścianą na cetynie, sięgnął w pas i dał mu srebrnego cwancygiera z Matką Boską.

Jakóbek zauważył, że dwa razy do Wojtka przyszedł jakiś nieznamomy chłop, okrutnie wielgi, że coś gwarzyli po cichu z bacią, poczem Wojtka nie było raz imo noc, dzień i noc, raz cości styry dni, a po powrocie miał masę srebrnych pieniędzy, cwancygierów, talarów, nawet złote dukaty, z których dał po jednemu dwom niemowom, juhasom z Muru, braciom Hajackom, Michałowi i Kubie, chłopom, z których każdy potrafił trzy centy*) żelaza w zębach udźwignąć, a na plecy choćby i po ośm centów. Ale to były chłopcy spokojne i nie nikomu

*) Cent — centnar, 50 kilo.

nie robiły złego. Jeszcze Kuba, choć był niemy, umiał na piszczałce grać do cudu, a na trombicie, aż echo grało.

Jakóbek tak uważował, że Wojtek Chroniec z kąd innąd tego śrybła i złota nie przynosi, tylko z za Tatrów z Luptowa, a ów wielgi chłop nie kto inny musi być, tylko wysłannik zbójników, z którymi się Wojtek stowarzysył.

Ale o tem nie gadano. Uważował tylko Jakóbek, że baba, jego stryk, w niezwyklej miał Wojtkę estymie, chował go najlepiej, a czasem powiadał:

— S tobie, Wojtek, będzie kiesi cosi!...

Wiedział też Jakóbek, że się Wojtek z Kasią Pęcowską chciał żenić, nawet ona dwa razy u niego była na hali, bo Wojtkowi nieporada było iść do wsi, skrony tego dezynterunku.

Słyszał też Jakóbek, jak zaprzysięgała Wojtkowi, że do karczmy chodzić nie będzie, tańcować nie będzie, a zwłaszcza z Bronisławem Wałęcakiem z Kośnego Hamru.

Oburzyło się wielce serce Jakóbkowe, gdy kupując habrykę i palenkę, ujrzał Kaškę tańczącą polkę z tymże Wałęcakiem, a nietylko to widział, ale i to, że ją Wałęcak objął w ciżbie w pół i dwa razy poboškał w same usta, a raz w lico.

Jeszcze się więcej oburzyło serce Jakóbkowe, kiedy poczuł Wojtkowego cwancygiera w ręce. Stoi więc przed nim i powiada:

— Wojtek! Pedziałbyk ci cos!

— Co?

— Kasia tańcy.

Wojtek jak się porwie z cetyny:

— Tańcy?!

— Tańcy.

— Ka?

— W karcymie pod kościołe.

— Widziałeś?

— Widziałek.

— S kim?

— Z Wałęcake.

Wojtek hop z posłania na równe nogi. Boso był, hipnął trochę na iskry z watry, ale nie na to nie uważa.

— Prawde mówis? — chwycił go za ramię.

— Na mój sto prawdu!

— Ne!

Cisnął mu Wojtek talara; Jakóbek schował. Potem Wojtek hip ku ścianie, łap za kierpce, obuwa się.

Dwa olbrzymie Hajaeki, siedzące nieruchomo na niziutkiej ławeczce przy wiatrze, ze schylnemi ku ogniu głowami, w czarnych smolnych koszulach, z pasami nabitemi mosiądzem pod pachy, z włosami spadającemi ku ramionom, podnieśli głowy do góry i spojrzeli na siebie. Z czarnych osmolonych i ogorzałych twarzy błysnęły im tylko niebieskawe białka oczu.

Wojtek się obuł.

— Ka idzies? — spytał go baca.

— Hań.

— Waruj sie! — przestrzegał baca.

— Nie starajcie sie. Na rano bedem.

— Boze cię prowadź.

— S Pane Boge.

Podali sobie ręce.

Wojtek wziął ciupagę i wyszedł z szałas.

Dwa olbrzymie czarne Hajacki dźwignęły się z ławki i kiwnęły bacy głowami.

— Idziecie ś nim?

Skinęli potakująco.

— Jako fecie.

Niemowly wyszli z szałas, zabierając powcina-
ne w ścianę ciupagi.

— Na kigoś djaska mu to pedział? — zwrócił się baca ku Jakóbkowi.

— Jagzek ni miał pedzieć, kiek slišał, jak ślubowała, co tańczyć nie bedzie? Jesce jom nabarzyj pytał skrony tego Wałęcaka.

— Hej, bedzie hań mał! — rzekł baca półgłosem i, wygarnąwszy zapieczoną fajkę z węglików, poczał z niej pykać i pogrążył się w zadumę.

Wojtek gnał, aż mu piarg z pod nóg fyrczał. Przeleciał polanę, przeleciał las, nie slysział Hajacków za sobą, dopiero ich na gościńcu uslysział. Ale się nawet nie obejrzał: gnał dalej.

Dopadł wsi, wartko ku karczynie, spojrział oknem: tańczy Wałęcak dookoła, a Kasia mu boczkuje.

Wałęcak właśnie przystanął przed muzyką i śpiewa:

Kiebyś ty tak za mnom, jako jo za tobom,
bylibymy, Kasiu, kazdom nocke z sobom!

A stary Bartłomiej Huciański, bardzo wesóły chłop, dośpiewuje mu z kąta:

E dy ona jino lewdy temu rada,
coby to słonecko nie świtało nigda!

A wszyscy w śmiech.

Wszedł Wojtek do sieni, z sieni do drzwi. Dwaj Hajacki za nim do sieni.

Trąca go ktoś.

— Jak sie mas, Wojtuś?

Obejrzał się: Florek Francuz, niemłody, chuderlawy, mały, brzydki, bogaty chłop, który się ogromnie w Kasi kochał, a nie mając żadnych danych na rywalizację z Wałęcakiem albo Wojtkiem Chrońcem, roznienałwidził Wałęcaka. Kie ni-móg on, niek jom biere Wojtek!

— Witajcie — powiada Wojtek.

— Is, co sie hań robi!

— Zje ćozby sie miało robić?

— Kaśka tańcy z Wałęcake.

— Po tok tys haw prziseł.

— Ej przy sam Panu Bogu! Wojtuś!

— Bedzie ta, jako bedzie.

— Tu mas mojom renke! Hoćbyś trzi dni kciał pić: pij! Krowe przedam, konia przedam — pij! Wojtuś! Serdecko moje! Na mój dusiu! Pij!!! A kis to djasi przišli s tobom?

— Juhasi murzańscy. Hajaeki. Niemowy.

— Ej wiera! Kiel som tys! Kieby ja teli był! Sprościłby ja tys Wałęcaka!

— Nie bójcie sie! Mam go i ja sprościć.

— Ej raty przeraty, Wojtuś! Pij pote, kielo kees! Łąke w Oblazie przedam, pole przedam, dom przedam: pij! Wojtuś! Serdecko moje! Ni-mógek ja bier ty! Bier, bier, bier! Wrrr!!!

Tu Florek Francuz warknął jak pies, aż się zapienił, wbił paznogie w dłoń Wojtka i trząsł się cały, a przestępował z nogi na nogę, jak kogut.

— Is jom hań?

— Widzem.

— Bośkajom sie, śeiskajom sie, shadzajom sie! Wojtuś! Wrrr!...

Tu Florek Francuz schylił głowę i złapał zębami rękaw od koszuli Wojtkowej.

— Wojtuś!

— Cóż?

— Bedem ci syćkie dzieci do krztu trzymał!

Zapisem im cały majontek! Bedem im tak, jak ociec! Bij!!!

I popchnął go do izby. Dwa olbrzymie Hajacki przysunęli się ku drzwiom.

Wtem struna skrzypkowi pękła: przerwał się taniec. Kasia ujrzała Wojtkę. Zmieszana się strasznie, zaczerwieniła, choć już od tańca czerwona. Nie wie: czy iść ku niemu, czy nie? co powiedzieć? Zbliża się nakoniec, wyciąga rękę i bąka:

— Wojtuś? Tuś?

— Hawek — odpowiada Wójtka.

Wałęcak pijany, rozgrzany, stoi obok; wyciąga on też rękę ku Wojtkowi.

— Zdróweś, bracie?

— Zdrów.

Wstrząsnęli sobie dłonie, aż trzasło.

Skrzypek pociągnął po strunach: może grać. Wójtka zdejmując szerokim ruchem kapelusz przed Wałęcakiem; kłania mu się nisko, przyklęka przed nim na kolano, podnosi głowę do góry i powiada:

— Bracie, ustąp mi.

Wałęcak potrząsa głową hardo:

— Nié, bracie!

— Ustąp mi, pytam cie, bracie.

— Nié, bracie.

— Nie fces?

— Nie kcem.

— Zapłacem ci trzi tańce.

— Nie kcem.

— Bracie...

Ale Wałęcak już stoi przed muzyką i śpiewa:

Nie próguj się, hłopce, w tyj karemie nawrócié:
jest haw lepsi hłopcy, mogliby cie skrócié!

A Wojtek Chroniec odpowiada mu, udając, że śpiewa wesoło:

Abo mie zabijom, abo jo kogosi,
bo sie mi cuprina do góry podnosi!

Przystanął Wałęcak, spojrzął na Wojtka, Wojtek na niego. Patrzą, uśmiechają się, a grożą sobie oczyma, aż z nich świeczki lecą. Chłopi już miarkują, że tu „cosi bedzie“; odsuwają się trochę, grupują między sobą. Już się baby porwały ku swoim chłopom, stają przy nich, dają sobie znaki, gotują się, bo cosi haw bedzie.

Muzyka gra, Wałęcak tańczy. Tańczy ozwodną nutę dookoła, ale mu jakoś nie idzie. Nie chce skończyć, choćby na złość i przez pychę, a jednak staje przed muzyką i ochryłym głosem śpiewa do zwyrtu:

Mój konicek kaston
podkowičkom trzasnon
na orawskim gościńcu;
mnie sie serce kraje,
ohoty dodaje
ku mojemu dziéwcenciu!

Puszcza Kasię popod rękę, chce objąć wpół i zakręcić w powietrzu na zakończenie, wtem Florek Francuz daje Wojtkowi kułaka w bok i szepce mu:

— Wojtuś!

Wojtek rzucił się naprzód, chwytając Kasię za warkocz, zawinał, jak rżnie o ziemię! Aż jęknął, ani nie pisnął nawet.

— Ty suko! Takie twoje śluby?! — krzyczy Wojtek i kopie ją w piersi.

Wałęcak zgłupiał, gębę otworzył, oczy wybałuszył. Wtem przypadł Staszek Pęcowski, brat Kasi, z boku, z krzykiem: „Bij zabij!“ — i łapał Wojtkę za gardło. Oprzytomniał i Wałęcak: dalej do Wojtki.

Pięciu, czy sześciu parobków, przyjaciół i krewnych, jeden ze stolkiem, drugi z jakimś tłuczkiem, trzeci z dzbanem glinianym w rękę, lejąc sobie piwo na głowę, sypnęli się ku Wojtkowi, ale w tej chwili ludzie we drzwiach rozmiotli się na dwie strony, jak otręby w żłobie, kiedy krowa na nie dmuchnie, i dwaj olbrzymi niemowły, czarni i świecący od nabitych mosiądzem pasów, podnieśli opalone, nagie do pachy w opadających juhaskich rękawach ramiona. Jak się młoty wała w kościeliskich kuźnicach, podnosząc się bez hałasu, a grzmocąc z łoskotem; tak się niemo dźwignęły i zachrzęściały na głowach ludzkich dwie ich pięście. Z ciżby wydobył się jęk i wrzask. Bły-

skając niebieskimi białkami i wydając jakieś gardłowe rżenia, murzańskie niemowy miotali chłopami naokoło siebie, jak snopami w polu.

Dobrze, że nie rąbali, bo Jezus Marya!

Wojtek Chroniec zaś przygniótł kolanami powalonego przez siebie Wałęcaka i dławił pod gardło; obok padła ciupaga.

Ludzie zaczęli się cofać i uciekać z karczmy; muzykanci stłoczyli się przerażeni w kącie ku ścianom. Murzańscy juhasi gnali ciżbę w sień i koło Wojtka zrobiło się wolniejsze miejsce. Wtedy przyslizgnął się ku niemu Florek Francuz i trącił go w ramię.

— Wojtuś!

Potem warknął:

— Wrrr!!!

Wtedy Wojtek złapał za ciupagę, wstał, zamachnął się i rznął obuchem w łeb Wałęcaka, aż mózg wyprysnął. Potem drugi, trzeci, czwarty raz, gdzie trafił.

A Florek Francuz za każdym ciosem podskakiwał w górę i skrzeczał jakimś mieludzkim, jastrzębim piskiem:

— Bij! Jo ci go na funty zapłacem!

Wojtek bił.

A w kącie piszczał Florek Francuz:

— Wojtuś! Wojtuś! Hi, hi, hi!... — podskakiwał i dreptał nogami.

Nagle Wojtek ustał się pastwić, porwał z szyn-



kwasu flaszkę wódki, przechylił — wypił całą. Potem parsknął i spojrzał dookoła. Wałęcak, jak mięso, Kasia podeptana, pokaleczona, zaduszona, zagnieciona w tłumie, we krwi na ziemi. Muzycy w kącie nie mają którejdy wyjść.

— Grajcie! — krzyczy ku nim Wojtek.

— Grajcie! — powtarza i ciska im z pasa garść talarów.

— Grajcie! — dźwignął ciupagę.

Skrzypek prędko przykręcił kódek, pociągnął smyczkiem. Wojtek staje przed nim i śpiewa:

Zagroj mi, muzycko, jako mi mos zagrać,
bo po mojej śmierci mozes sytko zabrać!

Tańczy. Ślizga się we krwi. Kopnął na bok Wałęcaka. Kasię odwlókł Żyd zbiełały ze strachu pod ławę. Z ciekącemi po twarzach podrapanych i potłuczonych strugami krwi, dwaj Hajackowie, dzierżąc ciupagi przy ramionach, stoją we drzwiach. Florek Francuz w kącie podryguje, pokrzykuje i pogwizduje.

Wojtek tańczy, przystanął, śpiewa:

Gęślicki mi grajom, basicki basujom,
na moje nozecki racioski gotujom!

Tańczy, ale krew go uchodzi, dostał i on nie-mało w bitce, chwieje się, zaśpiewał jeszcze:

Krzesajom śubienice, krzesajom z jedliny,
hej skróś tego kohanio, skróś jednéj dziewcyny!

— i opadł na ławę. Siadł.

— Zydzie! — woła.

Żyd trzęsie się ze strachu.

— Co pon herśt kazom?

— Daj papir, pióro i tego, jako to sie nazywo,
co sie pisa?

— Jatramynt?

— Rychtyk, jatramynt. Wartko. Naści za to!
Cisnął talara.

Przyniósł Żyd papier, atrament i pióro.

— Pisaj pon, bo ja nie umiem — powiada
Wojtek.

Żyd zamaczał pióro.

— Pisaj pon, jako beem mówiél:

Do pana postenfirera ziandarów w Nowym Tar-
gu. Ja Wojtek Chroniec Sobuścyn, dyzyntyur
z piérsego pułku ułanów, meldujem, jakok zabiél
Kasie Pęcowskiom skrony przeniwierstwa i Bro-
nislawa Wałęcaka Borkowskiego bez co mi sie
garła hycił, i prosem, coby mie przišli brać. Mo-
zom przyńśé śmiało, bronić sie nie bedem.

Podpisajcie mie: Wojtek Chroniec Sobuścyn.
Amen. Poślijcie to woze, coby sie przywieźli wart-
ko z miasta.

— A wy, hłopy — zwrócił się do Hajacków —
biercie sie w pole, by was tu nie zabili, albo nie

hycili. Jest ta godnie srybła we węzelku, a dwa kotliki nowiućkik cwancygierów zakopane w Ozpadłej Dolinie, ka sie z pod wanty woda leje, jako sie od suhéj limby dwa strzelenia pudzie na prawo, a pote półtrzecia strzelenia dołu na lawom renke. Podzielcie sie, a rućcie ta ćwierć kotlika bacy, za co mie hował bez lato. Biercie sie hore!

Wyciągnął ku nim rękę; uścisnęli się.

— Icie s Pane Bogee!!

Niemowoy popatrzyli na niego, wyszli.

— Zydu — powiada Wojtek — zywa je jesce?

— Wto?

— Kasia.

— Jo ani nie chcem patrzeć... Tyle krwi!

— Ej, nie zyje, nie zyje! — zapiszczał Florek Francuz i zalał się łzami.

Potem rzucił się na ziemię, zaczął bić głową o podłogę, wydzierać sobie włosy, tarzać się, wic, wyc i jęczeć rozpaczliwie.

A Wojtek Chroniec opuścił głowę na piersi i szepnął:

— Morzy mie sen...

Potem jakby w półśnie zanucił zeicha:

Ej wiaterku od pola, wiaterku wiérhowy,
kie ci sie uhycem, sto buków przeskocem!
Ej wiaterku od pola, wiaterku z pod turnie,
kie mie wisać pudom, postronek mi urwij!...

Opuścił głowę jeszcze niżej i zmożył go sen.

SPIS RZECZY:

	Str.
Motto	5
Przedmowa	7
Stara książka i stara pieśń	13
Zbójecka chałupa	35
Jak Jasiek Mosiężny nie mógł znaleźć szczęścia	63
I. O Marysi dalekiej	65
II. O wójtowej Marynie	83
Gazda Halny	113
Krystka	121
Jak wzieni Wojtka Chrońca	145

**WYDAWNICTWA KSIĘGARNI
J. CZERNECKIEGO w KRAKOWIE**

BIBLIOTEKA NOWELISTYCZNA:

1.	Maupassant G.: Krwawy rok, Nowele	2·10
2.	Maupassant G.: Widma wojny, Nowele	2·10
3.	Filochowska H.: Czarne łabędzie, Nowele	2·10
4.	Sałykow-Szczedryn: Satyry i powiastki	2·10
5.	Josse H.: Pogodne obrazki, Nowele	2·10
6.	Ożegalska H.: Storczyki, Nowele	2·10
7.	Maupassant G.: Historye Małżeńskie, Nowele.	2·10
8.	Soplica Ewa: Momenty, Nowele i obrazki	2·10
9.	Vrchlicky J.: Powiastki ironiczne i sentymen	2·10
10.	Awerczenko A.: Suche ostatki, Nowele	2·10
11.	Poe Edgar: Zdradzieckie serce, Nowele	2·10
12.	Tetmajer K.: Tryumf, Nowele	2·70
13.	„ „ W czas wojny, Nowele	3—
14.	Zubrzycki T. W.: W szarą godzinę, Nowele	3—
15.	Kirkor G.: Miłość, Nowele.	3—
16.	Orkan Wł.: Miłość, Nowele	3—
17.	Tetmajer K.: Na skalnem Podhalu I.	4—
18.	„ „ „ II.	4—
19.	„ „ „ III.	4—
20.	„ „ „ IV.	4—
21.	„ „ „ V.	4—

POWIEŚCI, POEZYE, DRAMATY:

Brantome: Żywoty pań swowolnych (2 tomy) przeło- żył Boy	12—
Crebillon: Noc i chwila, przełożył Boy	6—
Gruszecki A.: Przed burzą, Powieść	4—
Na posterunku, Powieść	4 80
W kraju palm i słońca	2—
Herbaczewski J. A.: Amen	2—
Juszkiewicz H.: Erotyki	2—

Konczyński T.:	Głód szczęścia, Powieść	6—
	Marya Leszczyńska, Ilustrowane	22—
	„ „ wydanie zbytko- wne i poprawne	36—
	Nad głębiami, Powieść	5—
	Powrót wiosny, Komedia	3·50
	Śmiertelny bieg, Powieść	6—
Marivaux:	Komedye, przełożył Boy, (2 tomy)	7—
Perfall A.:	Grzech. Przekład Cz. Kędzińskiego	1·50
Piotrowski A.:	Od Bałtyku do Karpat, Bajki z ilustr. A. Piotrowskiego	6—
Rabellais F.:	Wielkie a nieocenione kroniki	1·20
Rousseau J. J.:	Wyznania I. przełożył Boy	6·30
	„ II. w druku	—
	„ III. „	—
Tetmajer K.:	Anioł śmierci z ilustr. P. Stachewicza (w druku)	—
	Erotyki	6—
	Judasz, Tragedya	6—
	Koniec Epopei, Epilog	6—
	„ „ ilustrowane (w druku)	—
	Na skalnem Podhalu I.	4—
	„ „ „ II.	4—
	„ „ „ III.	4—
	„ „ „ IV.	4—
	„ „ „ V.	4—
	„On“ z ilustr. A. Piotrowskiego	1·50
	Poezye wybrane, broszur.	12—
	„ „ poprawne	18—
	Romans Panny Opolskiej (w druku)	—
	Tryumf, Nowele	2·70
	W czas wojny, Nowele	3—
Tetmajer Wł.:	Bóg się rodzi, poprawne	4—
	Marsz Skrzyńskiego	4·50
	Opowieść z dawnych lat	2·50
	Raławice, Powieść	3—
	Silva rerum	5—